№ 20. Warszawa, dnia 1 (13) Maja 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

KRONIKA ZAGRANICZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

Wystawa w Filadelfji.--Podróż do Ameryki. — Wystawy w ogóle.—Nowa zapowiedziana wystawa w Paryżu.—Berlin jako stolica świata. — Kupcy berlińscy. — Grzeczność pruska.—Pobyt w Berlinie jego niebezpieczeństwa i przyjemności. *Pech* pruski.—Co się dzieje z dziełami sztuki. — Tissot'a podróży tom drugi.—Kilka słów o nim.—Święcenie niedzieli.—Dnie świąteczne.—Anglicy i Amerykanie w Niemczech.—Führich i obrazki religijnej treści.—Nowy romans Bolandera, Urdentich kilka słów o nim.—Bithimes i Biscula.—Nirwana p. Idy Hahn-Hahn.—Romans historyczny Gottschalla. — Powieści francuzkie Bibliotheque élégante.—Książę z domu Dawidowego. —Non miscenatur sacra profanis. — Poezye Petrarki. — Język i literatura włoska.

Wielkie się czynią przygotowania do wystawy w Filadelfji — o której losy jednakże, jeśli rachuje na wielki współudział Europy, mocno się lękamy. Wydano już na nią sumy ogromne, ale i spekulacya zawczasu wszystkie kąty jej wzięła w dzierżawę; kto ma odwagę puścić się dla widzenia nowego świata, powinien się najpierw zaopatrzyć w znaczny zapas dolarów — i—niezbędny w społeczeństwie amerykańskiem rewolwer. Dwa te czynniki są nieodzownie potrzebne. Wiemy już zawczasu że nie można będzie usiąść, spocząć, napić się — przejść żadnych drzwi bez opłaty. A że ceny amerykańskie zastosowane są do skali olbrzymiego przemysłu miejscowego i cen pracy — europejczyk wiele spodziewać się może niemiłych niespodzianek... Trzeba to sobie powiedzieć wszystko zawczasu, kto się do Ameryki wybiera... Ja, przyznaję się, nie mam najmniejszej ochoty, ani bym radził nikomu rzucić się w paszczę chciwych zysku przedsiębierców, którzy tam już na pastwę czatują...

Wolę poczekać na wystawę paryzką, bo — oto — mówią i piszą, że się nowa międzynarodowa wystawa przygotowuje w Paryżu. Pomimo smutnego zawodu jaki doznała Austrya ze swoją, francuzi dowodzą że przemysłowi opłaca się, choć niebezpośrednio ekspozycya każda. Miało to wykazać starannie uczyniona ankieta. Przemysł po niej ożywił się i dźwignął. Paryż też ma urok wielki, i łatwiej ku sobie pociągnie cudzoziemców...

Długo namyślano się czyby w nowej stolicy świata, w Berlinie także nie zrobić wystawy... Wiedeński krach i teraźniejszy stan przemysłu nie dozwolił o tem myśleć — Niemcy są wielce ostrożni, a stracić kilka milijonów talarów wcale sobie nie życzą...

Myśl więc powziętą, która się uśmiechała wielce, jako niebezpieczną pokusę—odepchnął ks. Bismarck Berlin też nie czuje się jeszcze przygotowanym na przyjęcie gości z całego świata. Chociaż ludność jego zbliża się do milijona, braknie mu wiele by mógł być ponętną gospodą dla podróżnych. Tu nawet zbytek przybiera jakieś formy sztywne, żołnierskie, które go czynią niesmacznym. Prusacy też mają zasłużoną sławę ludzi kwaśnych i niegrzecznych. Świeżo czytaliśmy o wypadku jednej pani w magazynie ubiorów w Berlinie, który charakteryzuje uprzejmość kupców pruskich. Pani ta probowała kilka okryć, chcąc jedno z nich kupić, ale nie znalazłszy nic stosownego, przeprosiła właściciela i zabierała się do wyjścia, gdy — gburowaty jegomość oznajmił że — musi kupić coś, bo sobie nadto zadał pracy przy pokazywaniu. Słusznie obrażona pani, odpowiedziała że nie kupi nic. Właściciel magazynu zagroził że pośle po policyę. Pani usiadła na krześle i zgodziła się czekać na nią. Czekała z pół godziny cierpliwie... gdy kupiec nareszcie dozwolił jej opuścić sklep. Historya ta miała być głośną i spowodowała później proces nawet... Tak przynajmniej opowiadano.

Wszędzie są równie grzeczni ziomkowie Kruppa i Mauser'a, dla swych gości. To co Tissot opowiada w pierwszym tomie swej podróży do kraju milijardów, nie jest wcale przesadzonem. Począwszy od kelnera w restauracyi, do oficera na ulicy — wszystko z wysokości Sedanu i Sadowej patrzy na ludzkość nie mającą szczęścia należeć ani do szerokiej ojczyzny niemieckiej, ani do zwężonej pruskiej.

Berlin jest jednem z najnieprzyjemniejszych miast europejskich — tej sławy mu nikt nie odbierze. Jest to zresztą tak ustalonym pewnikiem, iż nikt się nie sprzecza o to. Teraz zaś, gdy wszystkie fabryki rozpuszczają robotników, a wiosna gromady ich ściągnie do stolicy, w której przedsiębierstwa i przemysł spoczywają — nie bardzo nawet będzie bezpiecznie... wyszedłszy z pod Lip.

Dzienniki są pełne przypadków... nie mówię już na Hasenhajde lub na drodze do Lichterfeldu, ale nawet na najludniejszych ulicach... Wieczorami nikt się nie ośmiela wyjść sam... dalej jak za Brandeburgską bramę. Już w Thiergartenie około dziesiątej, zegarek, sakiewka i głowa nie są bezpieczne. W mnogich podziemiach — Kellerach, osobna klasa ludności, znana pod imieniem Baurenfängerów poluje na naiwnych wieśniaków. Jeśli który z nich nie daje się ograć po dobrej woli... może być odartym... a podatek opłacić musi pruskim przemysłowcom.

Do wzmiankowanych przyjemności dodawszy teatra wcale nie odznaczające się ani grą, ani wspaniałością wystawy, ani wygodami wewnętrznemi, restauracye w których z głodu tylko jeść można i posępną fizyognomiją niesmacznych budowli — wątpię by kto był pociągniętym do bawienia się w Berlinie. Zawsze to jeszcze koszary wielkie i militarnego przeważnie państwa stolica. Wojskowy przoduje tu przed wszystkiemi i czuje się panem... Pomni on że na pomniku Fryderyka II, feldmarszałkowie idą przodem, a Lejbnitz stoi pod ogonem rumaka.

Akademija sztuk pięknych rusza się, ale z miejsca wstać nie może. To co niemcy *pechem* zowią, a u nas *malikowatością*, panuje nad Berlinem.

W galeryi, albo restaurator popsuje obrazy, lub je barbarzyniec pokraje scyzorykiem... W Muzeum szacowne rzeźby stróże tak czyszczą że do żywego z nich zedrą co stanowiło wdzięk i życie... Jeżeli kupią Prusacy moabickie starożytności, to się okażą świeżemi wyrobami garncarskiemi. Jest przysłowie że kto przegrywa w karty, ma być w miłości szczęśliwy — Prusakom na wojnie się powodzi niezmiernie, ale za to w pokoju... nie idzie. Poczciwy Lindau, który wybierał się być wielkim człowiekiem w Berlinie, wzdychając oświadcza, że Niemcy mają potęgę ale sympatyi — nie mają. Nikt ich kochać nie chce... Z tego powodu są tak kwaśni... Czuć się wielkim, silnym, bogatym, pięknym (przypuśćmy) i być traktowanym za ba-i-bardzo... Smutne!

O wyjściu drugiego tomu Tissot'a podróży do kraju milijardów, pod zmienionym tytułem: „Prusacy w Niemczech" (nie zbyt stosownym) — zapewne dzienniki już donieść musiały. Dadzą też one zapewne obszerne wyciągi z niego. Tom ten padł jednak więcej na głowę Bawarów, któremi się zajmuje głównie, niż Prusaków. Nie mniej gniewać się zań będą srodze — i jest za co. Nie jesteśmy wcale przyjaciołmi dzisiejszego prądu idei i przetworzonego przez Bismarcka na swój kopyt, niemieckiego żywiołu — jednakże zbyt jednostronnie patrząc na wszystko, nie widzi się nigdy prawdy całej. Południowe Niemcy katolickie zbyt są czarno odmalowane.

Ktokolwiek dłużej był w Niemczech, i przypatrzył się zblizka życiu w protestanckich krajach, zdziwionym być musiał — szczególniej Anglicy — zupełnem zapomnieniem święcenia niedzieli.

Wprawdzie po większych miastach municypalność strzeże tego, aby przynajmniej w czasie nabożeństwa sklepy i restauracye były pozamykane, a robota, jeśli się gdzie jaka odbywa, nie stawała się widoczną; nie pomaga to wiele, gdy lud przestał czuć poszanowanie dla dni świątecznych. Kobiety pracują jak w dni powszednie, a jeśli czem się odznacza niedziela, to chyba poobiednią i wieczorną zabawą w knajpie. Z wygaśnięciem religijnego ducha i obyczaj religijny został zabyty. W Szwajcaryi zawiązało się towarzystwo, które propaguje święcenie niedzieli, ale ze względów czysto higienicznych, dla zdrowia. Wyznaczyło ono aż nagrodę za popularną rozprawę o święceniu niedzieli, i przyznawszy ją Dr. Niemeyerowi, wydało to pisemko, którego odbitki też powtórzono w Berlinie. Autor naturalnie trzyma się punktu widzenia czysto lekarskiego. (Die Sonntagsruhe vom Standpunkte der Gesundheite lehre gemeinverständlich abgehandelt—Berlin—Denicke). Czy pomoże to i nawróci? wątpimy bardzo.

Kilka razy w ciągu roku protestanci obchodzą tu, i w innych krajach dnie pokutne (Busstag). Nigdy jednak lepiej się nie bawią, jak w tym czasie, choć muzyki cichną i teatra nie grają. Gospody za to pełne. W Szwajcaryi tak samo pamiątkowe dni postne tem się odznaczają, że mieszkańcy z kantonu, w którym jest post, uciekają jeść do sąsiedniego. W taki dzień Genewa pusta, zamknięte gospody, ale o parę mil, ludność zajada i zapija w najlepsze. Wilk syty i koza cała. Rocznica independencyi obchodzi się uroczyście na oko, a żołądek na tem nie cierpi. Anglicy tem wszystkiem wielce są zgorszeni, u nich poszanowanie wiary i religijny duch żyje jeszcze.

Jak też oni sądzą o Niemczech surowo, i jak się zapatrują na nie, najlepszym dowodem może być świeżo wydane dwutomowe dzieło Williama Stigand „The life-work and opinions of Heiriwich Heine." Nie idzie tu o Hejnego, mimo tytułu, ale o naród niemiecki. Pismo to zowią zuchwałym pamfletem... lecz... nie jest ono jedyne. Z Ameryki także przychodzą opisy pobytu i podróży w Niemczech, niemal jeszcze przykrzejsze. Coś więc prawdy w tem być musi.

W Wiedniu zmarł niedawno, jeden z najcelniejszych artystów religijnym duchem natchnionych, uczeń tej szkoły a raczej tej chwili, która wydała Overbeck'a, Veith'a, i Steinle — stary Führich. Był on dziecięciem ubogich rodziców i wykształcił się na artystę, z pomocą kilku mecenasów austryjackich. Długo szukał drogi dopóki mu jej średniowieczna, pobożna i natchniona niemiecka sztuka nie odsłoniła i nie wskazała. Mówią że widok genijalnych a naiwnych razem rysunków Dürera, stał się dlań jakby rewelacyą powołania. Führich malował i rysował w tym stylu archaicznym, kompozycye religijne, odznaczające się niezmiernem uczuciem i wdziękiem. Śliczne jego obrazki, zmniejszone, zdobią może nie jedną i u nas książkę pobożną, a życzyćby należało w interesie sztuki razem i religji aby nasi wydawcy, zamiast tandetnych rycinek, któremi nie zdobią, ale napychają książki do nabożeństwa, zwrócili uwagę na kompozycye takie jak Overbecka, Füricha, Veitha i Steinle. Pan Bóg nie miał by pewnie nic przeciwko temu, żeby się go miłować uczono i z pomocą natchnionych dzieł sztuki. Mówią że nasz Skarga, ile się razy spotkał z poczwarnem jakiem wyobrażeniem rzeczy świętych, niszczył je; my byśmy to samo czynili z tandetnemi obrazkami, które smak tylko psują.

Führich który przed rokiem obchodził 75-cio letnie urodziny swe, usnął po pracy, ze spokojem ducha, powszechnie żałowany.

(d. n.)

Do Morfeusza.

Niech inni sławią Plutusa dary,
Niech za stugębną famą w świat gonią,
Niech szczęście czerpią z Bachowej czary,
Lub przed Cytherą słodkie łzy ronią.

Ja nie dbam wcale o skarby świata!
Darmo mi fama trąbi nad głową,
Próżno do serca Amor kołata,
Darmo Bach wzywa laską bluszczową.

Ciebie ja wielbię, o bożku błogi!
Ciebie wysławiam nad wszystkie bogi,
Tobie makówki ścielę pod nogi
O Morfeuszu!... bracie mój drogi!

Bożku zaspany, z opuchłem okiem,
Kołysz mnie lekko w puchowym zwoju,
Przyćmij mą duszę makowym zmrokiem,
A serce otul kołdrą spokoju.

A na watowych lulaj mnie walcach...
Niech się w Tartarze wrzaski ucisza,
Niechaj śmiertelni drepcą na palcach,
A me chrapanie w Olimpie słyszą!

Niech w tym śnie życie zda mi się chwilką,
Nim Parki przetną jego nić szarą,
Niechaj się łudzę — że grób jest tylko
Mego Morfea ciemną kotarą.

A gdy nas Styxu rozdzielą wały,
Gdy pamięć wody Lethei zmyją,
Muzy, skreślając związek nasz stały,
Te na mym grobie słowa wyryją:

„Tu... pod tym głazem, Morfea kochany,
Wierny i czuły spoczywa poddany;
Żyjąc, dwa razem talenta posiadał,
Bo spał—i z boku na bok się przekładał."

Maria.

NIEZROZUMIANY

OBRAZEK KARNAWAŁOWY

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy).

— I cóż pan tam widzisz?

Znowu para dużych, szafirowych oczu otworzyła się szeroko przed oczami szczęśliwego patrona.

— Ironija to kwiat bólu, — jest ona częstoową lekką, na pół przezroczystą gazą, którą przysłaniamy to, czego światu od razu ukazać nie chcemy!

— Cóż ja mogę przysłaniać?

— Ach serce kobiece ma tyle — często bardzo pięknych i wzniosłych rzeczy na które potrzebujemy przesłony.

— Dla czego?

— Bo między oczami, które na to patrzą, mogą być oczy szydzących z wszystkiego profanów!

— Kogo pan nazywasz profanem!

— Który lekceważy rzeczy, jakich dojrzyć nie umie!

— Więc pan mógłbyś coś dojrzyć?.. Czyż to być może?..

Wymawiając te słowa otworzyła oczy jeszcze szerzej, jakby chciała, aby szczęśliwy marzyciel mógł spojrzyć na samo dno duszy!

Zdawało się patronowi, że rzeczywiście tam spojrzał. A widział tam takie piękne, zachwycające rzeczy! Widział wzniosłe dziewicze pragnienia—widział jak te pragnienia nieznośnie walczyły z całem dzisiejszem światowem otoczeniem, jak w nocy letniej walczy kwilenie słowika z chórem żab w rowach błotnistych!

— Pytasz się pani — odpowiedział poetyczny patron — czy mogę to widzieć, co się w duszy pani ukrywa... a ja daje pani na to odpowiedź, że wtedy tylko można to obaczyć, jeśli się na to patrzy — sercem!

Zagadkowy uśmiech zaigrał koło pięknych ust Zenobji. Powstrzymała uśmiech i rzekła z powagą:

— Więc pan patrzysz—sercem!

— Mogłaś to pani przeczuć!

Zenobija zamyśliła się.

— Czy mam temu uwierzyć? zapytała po chwili.

— Już sama powaga, z jaką pani pytasz, świadczy o dobrem usposobieniu dla tej wiary! odrzekł rozmarzony patron.

— Pan wmawia coś we mnie... i w siebie!

— Do pani niemam jeszcze żadnego prawa, ale co do mnie, to uroczyście pani powiadam, że nic w siebie nie wmawiam, czegoby tam już dawno nie było!

— Zamącasz mi pan głowę słowami, których dobrze nie rozumiem!

— Wracasz pani do swojej roli!

— Do jakiej roli?

— Każdy człowiek ma dwie role do odegrania na świecie. W jednej roli występuje człowiek naturalny, taki jakim go Bóg stworzył — druga rola odnosi się do świata i jego zwyczajów, słabości, wierzeń i przesądów. Walka między temi dwiema rolami stanowi życie. Gdyby nie było cieni, nie wiedzielibyśmy co światło. Walka jednego z drugiem daje nam dopiero ten zachwycający obraz, jaki tworzy promień słońca, rozłożony na siedm kolorów tęczy!...

— Nie rozumiem tych słów!

— Słowami nie wypowiada się zupełnie tego, co się czuje. Słowo ma pewne granice — uczucie mknie aż do nieskończoności!

— Jeszcze ciemniej robi mi się w głowie!

— Bo też głową nigdy tego nie zrozumiemy, co należy do serca!

— Pan tak wiele mówisz o sercu—nie wiem z jakiego powodu!

— Niech pani niezależnie od tego, co nas w tej chwili otacza, wsłucha się w serce — a powód będzie jasny!

— Trudno... muzyka zawiele sprawia hałasu — a te rozkosznie wirujące pary w tych strojach czarodziejskich zanadto drażnią oko!

— Ślicznie pani powiedziałaś! Ten hałas światowy i ten blask szychów zasłania nieraz prosty ale czarujący widok prawdziwego szczęścia!

— Jakież po za tem wszystkiem może być—szczęście?

— Takie same, jakie oswobodzonym nagle z murów miasta sprawia cicha, skromna, lesista polanka!

— Czy pan tak lubisz wieś?

— Lubię przedewszystkiem naturę—widoki naturalne bez żadnych sztucznych zabarwień!

— Dla czego pan na wsi nie mieszkasz?

— Jest to mojem pragnieniem — zdaje mi się, że to kiedyś nastąpi!

Zenobija zamilkła. Szafirowe oczy zawiesiła gdzieś w powietrzu, jakby w marzeniach swoich na coś pięknego patrzała. Poetyczny patron zamarzył także i uśmiechnął się do swoich marzeń.

— Miasto ma także swoją stronę ponętną — mówiła po niejakiem milczeniu Zenobija — osobliwie w zimie....

— Masz pani słuszność — przerwał Michał — w mieście nagromadzone są środki pracy, plony której pozwalają nam wrócić na łono natury i tam dalej z korzyścią dla społeczeństwa pracować. A na wsi tyle jest pracy!

— Możemy się przecież wyręczyć!

— Najskuteczniejsza jest praca osobista!

Zenobija zaczęła wystrzępiać koniec wstążki atłasowej.

— Najgorsze w życiu są złudzenia — mówił po krótkiej chwili dalej poetyzujący młody patron—powinniśmy tylko w to wierzyć i tego oczekiwać, co sobie sami pracą osobistą zarobić możemy. Życie nie powinno nigdy być grą w loteryę!

— Przecież nadzieją większej wygranej można sobie czasem jednostajne życie umilić!

— Życie tylko tym wydaje się jednostajnem, którzy od prostego przypadku czegoś wyglądają. Kto nie ma takich wierzeń, dla tego każda chwila jest ciekawą i drogą, bo posuwa pracę jego i usiłowania o krok dalej, chociażby ten ruch był tak nieznaczny, jak ruch wskazówki na zegarze!

— Ciekawa jestem, o ile posunęło się życie pana od chwili, jak z sobą rozmawiamy!

— Zdaje mi się, że przebiegłem wielkie, niezmierzone przestrzenie!

— Czy sprawiło to panu przyjemność?

— Powiedz pani raczej rozkosz najwyższą!

Zenobija wróciła do skubania wstążki, a po niejakim czasie lekko westchnęła.

Twarz patrona rozjaśniła się jak słońce.

— Pan psujesz mi dzisiejszą zabawę! rzekła cichym głosem!

— Jest to dowód—odparł szczęśliwy prawnik—że pani zaczynasz być sobą!

Zenobija westchnęła po raz drugi.

— Być sobą przy dzisiejszych warunkach życia tak trudno! jeszcze ciszej wyszeptała rozmarzona dziewica.

— Tym więcej—odparł szybko patron—jeżeli te warunki pochodzą od tych, którym winni jesteśmy posłuszeństwo!

— To prawda!

— Ale posłuszeństwo ma pewne granice — wolność człowieka, wyrzekł kodeks konwentu, kończy się tam, gdzie się zaczyna wolność drugiego człowieka!

— Panny pod opieką rodziców nie mają wolności!

— Wiem co pani chciałaś powiedzieć. Znam tę opiekę i wiem jakie ona ma widoki. Widzę jednak, że te widoki są źle obliczone i że prędzej upadną niżeli spodziewać się można. Gdy zaś ta opieka zatrzyma się u granic, od których już żadnej drogi szczęśliwego hazardu nie będzie, wtedy ujrzysz pani tam—mnie. Będę tam stał i czekał spokojnie!

Lekki, anielski uśmiech otoczył piękne usta Zenobji.

— A jeżeli zabłądzę i niespotkam pana? zapytała na pół żartobliwie.

— Wiem, że pani jesteś tylko posłuszną! odparł niezachwiany bohater.

— A gdybyś pan tymczasem się zabłąkał? szepnęła z niewysłowionym urokiem roziskrzonych oczu.

— To co wyrzekłem mogę przysięgą stwierdzić! odrzekł z dumą młody patron.

W tej chwili wróciła pani Piotrowa do dawnego swego miejsca. Patron powstał z fotelu.

— O czem rozmawialiście tak długo? zapytała matka z uśmiechem zadowolenia widząc zbliżającego się pana Rafała.

— O paragrafach, w których mowa jest o dowodach za pomocą przysięgi! odpowiedziała z uśmiechem Zenobija.

Pan Rafał stanął teraz przed nimi i zabrał z sobą Zenobiję do kontredansa.

Szczęśliwy patron odszedł tymczasem pod piec.

Gdy się to w salonie działo, w ostatnim pokoju napełnionym kosztownym dymem od pułapu aż do posadzki grał pan Piotr w cwika z różną szansą szczęścia. Czasami się gniewał i wymyślał na grających towarzyszów, czasami znowu stulał pokornie uszy, gdy sam był przez nich sowicie strofowanym, jak to zwykle przy każdej grze się dzieje.

Mimo tych alteracyi, jakie mu gra naturalnym biegiem rzeczy sprawiała, nie zapomniał sekretnych instrukcyj ukochanej małżonki, która kazała mu pilnie rozglądać się w całem otoczeniu, aby tym sposobem wyrobić sobie dokładną opiniją o wszystkich nowych znajomościach. Ponieważ pan Piotr oprócz zamiłowania do prawdy i szczerości, miał także spryt wrodzony tych wszystkich zacnych współziomków, którzy z nim jednym pieczętowali się herbem, nie spuszczał więc z uwagi nawet drobnych rzeczy, któreby służyć mogły za upragniony materyał dla rozsądnej jego towarzyszki życia. Mimo więc pozornego zajęcia się grą szlachetną, mimo nie małego ekspensu słów dosadnych, gdy potrzeba było zgromić marnotrawienie dobrotliwej karty i mimo wrażeń bolesnych, kiedy za jego błędy równą mierzono mu miarką, miał pan Piotr zawsze jedno ucho i jedno oko otwarte na to wszystko co w koło niego się mówi i robi.

W koło pana Piotra mówiło się bardzo wiele. W salonie przy tańcach jak to zwykle bywa, została prawie sama młodzież bez stopni i rangi. Co było podroślejszego i co miało pewną pozycyę społeczną, wszystko skupiło się teraz w tym pokoju, w którym palono do woli papierosy i cygara i grano w karty. Podczas gdy w tańcach pełnił służbę tylko sam rekrut — tutaj zgromadziła się starszyzna o szewronach i złotych epoletach ku wielkiemu zmartwieniu tańcujących w salonie panien i siedzących na kanapie matek. Nie jedna para w przelocie eliptycznym przez salon spojrzała z tęsknotą na chmurę wonnego dymu, który w łudzącej perspektywie zasłaniał złośliwie rycerzy bezwzględnej swobody i tytuniu.

Pomiędzy kobietami, które jeszcze obyczaj dawny uprawiały i od dymu tak drogiego należyty wstręt miały, były młode emancypantki, które i na tem polu odważną ręką zatknęły chorągiew równouprawnienia. Czy to było pragnienie nikotyny czy też wrodzona rodzajowi ludzkiemu potrzeba życia gromadnego wywołała tę odwagę— dosyć, że kilka najodważniejszych młodych kobiet wtargnęło z odwagą w gęste kłęby dymu i odosobnione grono mężczyzn uzupełniły swoją tyle pożądaną obecnością. Dla oka artysty przedstawił się teraz obraz dziwnej piękności. Podczas gdy w salonie były pozy sztywne, wymuszone i nienaturalne — siedzące tutaj towarzystwo przedstawiało tak malowniczą rozmaitość naturalnych składów różnych członków ciała ludzkiego, że pojętniejszy nieco uczeń medycyny mógłby tu wybornie przestudyować cały kurs anatomji. Na kanapie rozsiedli się jacyś młodzi eleganci z taką swobodą, że można było wziąść ich śmiało za hordę kozczujących na puszczy arabów, do czego zadymiona atmosfera skutecznie pomagała. Na szesłągu zaś pod oknem widać było tak kosztowne draperye jedwabiu i muślinu, że niejeden artysta zapłaciłby drogo za taki model, któryby umiał w tak poetyczny sposób nie okrywać tego, co w życiu powszednem zazwyczaj jest zakryte. A z każdych ust — różowych i ocienionych wąsem — wydobywał się cienką, skręconą wstążką błękitny dymek, związywał się w kółka i nad łysiną pana Piotra tworzył przejrzyste podłużne obręcze podobne do tych, jakie często nad głowami świętych pańskich się pojawiają.

Najwięcej takich kółek misternych wyleciało z różowych ust blondynki, ubranej w suknią głęboko wyciętą z błękitnego jedwabiu. Tworzyła ona prześliczny, pastelowy obrazek na sinem tle zadymionej atmosfery. Brwi miała ciemne, oczy czarne. Była rozwódką *in spe* a dziś rozmawiała wiele o ideałach.

Naprzeciw niej siedział w skurczonej pozie młody mężczyzna niepospolitej urody. Miał czarne włosy, jakąś nieodczytaną tęsknotę w niebieskich oczach i w czerwone prążki ubarwione pończochy, które z niepospolitą swobodą na świat boży z po nad lakierowanych kamaszków patrzały.

Między tą parą toczyła się dzisiaj najżwawsza walka dymu i słowa. Dym w podłużnych kółkach docierał aż do łysiny pana Piotra, a słowa wsuwały się do lewego ucha.

— To rzecz dziwna, ozwał się z grupy szpakowaty jegomość—dla czego serca kobiece lokują się zazwyczaj w budynkach porysowanych i grożących ruiną.

Piękna blondynka rzuciła trzy kółka na łysinę pana Piotra i odrzekła:

— Dowodzi to, że kobiety mają gust estetyczny!

— Gust estetyczny?... odparł szpakowaty dandys

uderzając w piękną twarz blondynki całą chmurą dymu — jakaż to znowu nowa estetyka?

Blondynka oddała chmurą za chmurę.

— Widać, że pan nie jesteś artystą — rzekła wdzięcznym głosikiem — zapytaj pan najznakomitszych malarzy, dla czego do swoich pięknych obrazów nie brali pańskich, z wymuskaną facyatą pałacyków — ale malowali wspaniałe rzymskie ruiny, albo poetycznie wyglądające chaty wieśniacze na pół rozwalone!

Ogromne koło dymu zakończyło te słowa.

— Więc kobiety lubią... ruiny! zagadnął ktoś z grupy malowniczej.

— Przyznam się panu — odparł z po za dymu jakiś niższy głos kobiecy — że wolę wspaniałą ruinę od lichego domku!

— Tak, to prawda! Ruiny są zawsze ciekawsze i romantyczniejsze od regularnych klatek domów rodzinnych! Tam przestrono — tu ciasno... i nudno!

Chór śmiechu złożony z dyszkantów i barytonów nagrodził niedojrzanego w dymie mówcę.

— Wybornie ktoś powiedział... ale autor jest w zadymionej tajemnicy! Autor!

— Mniejsza o autora — lepiej pochwyćmy jego słowa i zróbmy z nich jak najobszerniejszą parafrazę!

— Zostawiamy panom pierwszeństwo!

— Więc kobiety lubią ruiny, bo ruiny są malownicze, a zamieszkałe domki rodzinne mieszczą w sobie wiele prozy!

— Bez złośliwego dowcipu! Być może, że dla tego mamy pociąg do ruin, aby je... naprawiać i znowu dla społeczeństwa użytecznemi zrobić!

— Zbyt wygórowana cnota! Powszednia lubi po prostu ruiny dla tego, że one przedstawiają pewną ciekawszą od obecności przeszłość! Jakże to miło badać tę przeszłość i dzieje jej powoli układać w pamięci!

— Ktoby te słowa słyszał, sądziłby że wszystkie kroniki pisały — kobiety! Długosz był kobietą, Mateusz herbu Cholewa chodził w spódnicy a tajemniczy Kadłubek nosił *vêtement à la Pompadour*!

— Nie było w tem dowcipu! Czasami ciekawa kronika jest lepszą od dzisiejszego współczesnego romansu, w którym bohater sam o sobie mówi!

— I w którym bohaterka we wszystkiem jest — bierną!

— *Quelle banalité*!

— Bohaterki Dumasa biorą — pieniądze; a nasze czcigodne westalki zabierają nam młodość, spokój życia i każą w dodatku nieraz sprzedawać Prusakom nasze dworki rodzinne, aby było za co oglądać ruiny starego Rzymu i modne wyroby Paryża! Są to rozkoszne łączniki starego świata z najnowszym!

— Wszystko bez dowcipu! zawołał dźwięczny głos z po za chmury dymu.

— A więc stwierdziliśmy romantyczny i estetyczny gust kobiet! mówiła dalej strona przeciwna — a teraz postąpmy krok dalej. Jeżeli to wszystko co się rysuje i do ruiny pochyla lub już jest ruiną tak wielce zachwyca malowniczy zmysł kobiety, dla czego tak wstrętną jest dla nich ruina finansowa?

Długa pauza nastąpiła. Kilka chmur dymu stanęło do boju.

— Niekoniecznie wstrętną — odparł głos z po za małego sinego obłoczku—jeżeli ruina serca ma dla nas tyle uroku, nie można go także odmówić pewnym szczerbom majątkowym, które wyglądają jak zaszczytne blizny na czole weterana!

— Brawo! to może się zdać na co!

— Bez żartów. Człowiek który zbiera majątek, nie rad go wydaje — a ten co traci, rozrzuca go pełnemi garściami. Kobiety lubią rozrzutników, bo im z nimi lepiej!

— A kto wszystko szlachetnie i genijalnie rozrzucił? ozwał się siedzący w środku młody mężczyzna niepospolitej urody.

— Ten powinien się postarać o nowe zasoby! odpowiedziała rozkoszna blondynka z po za mgły błękitnej.

— Nie każda oceni takiego człowieka!

— To dać się pierwej ocenić — lichwiarzowi!

— Brawo! W takim razie wart jestem co najmniej... dwakroć sto tysięcy!

Lewe ucho przy łysinie pana Piotra drgało konwulsyjnie.

— Dwakroć sto tysięcy! powtórzyło echo i wsunęło się znowu ślimaczym skrętem do ucha pana Piotra.

— Tyle mi właśnie potrzeba! pomyślał sobie pan Piotr i z ukosa spojrzał na mówcę.

Mówca sprawił na nim bardzo dobre wrażenie. Był przystojny i miał minę wielkiego pana. Pan Piotr zapomniał rzucić asa na dziesiątkę...

— Do czegóż taka szczerość prowadzi panie Erazmie? pytał jakiś dalszy głos kobiecy.

Przystojny z miną lorda mężczyzna zwrócił się w tę stronę.

— W sprawach serca — odparł podniesionym głosem, lubię przedewszystkiem szczerość i otwartość!

Ucho pana Piotra drgnęło znowu — mimo że był as żołędny do wzięcia. Odrzucił pierwszą lepszą kartę i pomyślał sobie w duchu:

— Ten pan Erazm jest zacnym człowiekiem! Lubi tak jak ja szczerość i otwartość!

— Panie Erazmie mówił dalej ten sam głosik srebrny — czy to jest ostateczna cyfra?

— To jest dzisiejszy *à peu près* bilans mojej wartości — speranda może być z czasem wyższa!

— Radzę panu spieszyć się i coś jeszcze dorobić! zauważyła z uśmiechem blondynka.

— Czyż to pani nie wystarcza?

— Pan jesteś wart więcej niżeli dwakroć. Klient pański czy patron użył zbyt małej stopy do oszacowania pana.

— Może mnie kto jeszcze wyżej oceni!

— Do tego potrzeba pewnej podstawy. Podstawą mogą być tylko dokumenta podpisane i akceptowane!

— W tym żarcie jest coś prawdy. Człowiek rzeczywiście jest wart tyle, ile mu zaufają. Każdy bankier stoi na takim gruncie!

— Mój Boże — iluż mielibyśmy ludzi zdolnych do interesów bankierskich podług tej skali!

— Prawda — a tak oczywisty zysk wyłapują nam innowiercy, a my na to spokojnie patrzymy!

— Trzeba raz wziąść się do pracy produkcyjnej!

— Panie Erazmie zostań bankierem!

— Na początek dobre i dwakroć sto tysięcy!

— Można je w krótkim czasie podwoić!

— Po trzech zapowiedziach!

— Śmiejcie się z biednego, przez złych ludzi, tylko na dwakroć ocenionego ziemianina!...

— Przeciwnie, dodajemy ci nadziei panie Erazmie — jest tu właśnie panna, która ma posag tej samej cyfry!

— Z tego-by właśnie — nic nie było!

— Dla czegóż nie — możesz sobie u ojca zarobić na łaskę grając z nim w cwika!

— Pst! pst!... Jest niedaleko!...

Nastąpiła dłuższa pauza. Pan Piotr jak na nieszczęście turbowany był teraz przez towarzysza o jakiegoś króla, którego nie odrzucił, przez co nie mógł dobrze całej rozmowy zasłyszyć. Tyle tylko słyszał że pan Erazm ma dwakroć sto tysięcy, do czego sam publicznie się przyznał, a czego znajomi jego i przyjaciele bynajmniej nie zaprzeczali. To wystarczało mu na dzisiaj a o jutro nie troszczył się według słów pisma świętego, które mówi że o jutrze sam Bóg starać się będzie i roztropna towarzyszka życia. Już był kontent, że z czemś przynajmniej wróci do domu i że przynajmniej żadnych wymówek o swojej niezdarności nie usłyszy!

Zapłacił więc chętnie przegraną i z miną wytrawnego dyplomaty, który pewny jest swojej sprawy, posunął zwolna do zastawionej w trzecim pokoju wieczerzy.

(d. c. n.)

LIST SIÓDMY

z Ameryki północnéj

W MINNESOCIE

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Wspomniałem zdaje mi się w jednym z dawniejszych listów najpierw, że kobiety zajmują tu prawie zupełnie równe stanowisko z mężczyznami, dochodzą do urzędów, doktoryzują się i t. p. Chociaż nie przyznano im głosu przy wyborach politycznych, lecz wdowy i panny posiadające własność nieruchomą głosują przy gminnych wyborach w wielu stanach. O ile poznałem społeczeństwo tutejsze, dąży ono do równouprawnienia kobiet, i wcalebym się nie dziwił, gdyby większość kongresu w roku 1900 z dam się składała.

Grandżery przeczuwając potęgę kobiecą w polityce, przyjmują zarówno damy jak i mężczyzn do stodół, i wybierają je na mistrzów nawet; za pośrednictwem dam obcinają też znacznie dochody kolejowe.

W kraju gdzie kobieta jest nietykalną prawie, łatwo się to da uskutecznić. Każda kolej powinna wedle ustawy zapewniającej jej istnienie i obdarzającej ją ziemią, wymagać tylko 3 centy od mili angielskiej za każdą osobę jadącą. Prawo takie istnieje na papierze tylko, bo większość kolei liczy 6, a nawet 10 centów od mili, twierdząc, że 3 centy nietylko dywidendę nie opłaca, lecz nawet nie zwraca kosztów ruchu.

Przy potędze partyi republikańsko-monopolizującej nie podobna zmusić koleje do przestrzegania prawa. Sędziowie wybieralni nie wydadzą wyroku przeciw towarzystwom, w częstych procesach pomiędzy podróżnemi a dyrektorami. Konduktorowie wypędzą z wagonu każdego pana ofiarowującego li cenę prawem przeznaczoną. Słowem cała ta sprawa okazuje w bardzo niekorzystnem świetle opłakany stan polityczny narodu, gdzie jedna partya o tyle się wzmogła, iż depcze bezkarnie prawa nie zniszczone żadną późniejszą ustawą.

Chociaż monopoliści prawa depczą, nie odważają się jednak targnąć na zwyczaj narodowy. Kobiety siedzącej w wagonie bez biletu i dającej tylko 3 centy od mili, żaden konduktor nie weźmie za barki i nie wypchnie. Wszystkie Grandżerki więc nie płacą ani grosza nad cenę prawną, a gdy tu tyle podróżujących kobiet ile mężczyzn, towarzystwa kolejowe ponoszą ogromne straty. By się zemścić podwyższają cenę *frachtu* towarowego, również określonego prawem. Ztąd nowe spory i procesa.

W walce pomiędzy Grandżerami a kolejami, te ostatnie uledz muszą, bo bractwo tajne zaciąga

swych członków, nawet pomiędzy służbą towarzystw, odgraża się niszczeniem dróg i pociągów; karność posunięta do ostateczności i fanatyzm braci stodolników każą się domyślać, że na jedno skinienie mistrzów, mile szyn żelaznych znikłyby z powierzchni stepu.

Ta karność powstrzymała mnie od przyłączenia się do loży powiatowej, pomimo gorących nalegań. Nie takiemi środkami chciałbym reformować społeczeństwo o zepsutych rządach i tyranizowane przez monopolistów. Tu, gdzie każdy z nas może jawnie i śmiało przy urnie wyborczej głosić swe zdania i popierać uczciwych kandydatów, niepozwoliłbym żadnemu mistrzowi stodoły uczyć mnie jakie nazwiska mam wpisywać na kartce wrzuconej do urny.

Tubylce, przywykli do ostrej karności stronnictwa, bez wahania poddają się pod despotyzm mistrzów, by niszczyć despotyzm monopolistów. Od pół wieku już obie rządzące partye przyuczyły ludność do przyjmowania kandydatów wymienionych przez konwencye kierujące całemi stronnictwami.

Czy to kandydatów na prezydenturę, czy na najniższe podsędkostwo pokoju, mianuje konwencya złożona z najczynniejszych obywateli. Kilka konwencyj zebranych na zjazd walny zwany caucus, roztrząsa zalety pojedynczych kandydatów i przyjmuje jednego z nich, polecając masie ludności popieranie go głosami. Nikomu ani się tu śni głosować przeciw osobie poleconej przez większość konwencyi. Gdyby wypadało wybierać kilku urzędników jednocześnie, caucus ów ustanowi tak zwany *ticket* czyli spis osób poleconych, wyborcy głosują ryczałtem i popierają bez wahania osoby umieszczone na spisie, często zupełnie im nieznane.

Wspomniałem już że lękałem się podsłuchiwać tajemnic bractwa Grandżerów. Prócz tego zasady honoru nie pozwalały odgrywać roli szpiega. Ostrzegłem więc Niemców, że mówię po niemiecku, ku ogromnemu ich zdziwieniu. Tak bowiem dobrze taiłem znajomość tego języka, że wiadomość ta jak grom na nich spadła.

Zaiste w minach Australskich i pomiędzy Malajami i Papuanami, można tak z czasem nauczyć muskuły posłuszeństwa, że twarz ludzka stanie się niewolnikiem woli i tylko na komendę krzywi się płaczem i uśmiechem, lub zdradza podziw. Lecz ileż to zawodów, trudów i czasu przejdzie, zanim zdoła człowiek nakazać policzkom by ni wstyd, ni zapał je nie krasiły rumieńcem, ni trwoga, ni litość nie zmniejszyły napływu krwi ku jagodom!

Ze wszystkich zalet charakteru Niemców, bywa dla nich najkorzystniejszą owe chętne poddanie się pod rozkazy człowieka umiejącego więcej od ogółu. Niech raz uznają że wódz lub rządca posiada zdolności i wiedzę, słuchają go bez wahania, bez szemrania, znoszą nawet jego wybryki. Historya Bismarka, przed laty okrzyczanego, dziś półboga w Niemczech, sprawdza me zdanie.

Sprawdziłem je na sobie jednak. Pomimo że nie jestem ani Grandżerem, ani Niemcem i nie taję mych francuzkich, słowiańskich i amerykańskich sympatyi, niemieccy sąsiedzi moi, dowiedziawszy się że płynnie dwoma krajowemi mówię językami, rzecz nader tu rzadka, bo i niemcy i amerykanie źli lingwiści, zaproponowali mi bez ogródki kandydaturę na Sędziego pokoju. Urząd to najzaszczytniejszy w gminie, przynoszący cokolwiek dochodu i pozwalający na używanie przy nazwisku tytułu *esquire*, cenionego tu jako jedyny prawie cywilny tytuł, oprócz przydomku *honorable* dawanego posłom, senatorom i wyższym sędziom.

— Ależ zmiłujcie się panowie, zawołałem, wszak nie znam ani stosunków tutejszych, ani nie odznaczam się wykształceniem.

— Czyż nie odbierasz pan dziennika w nieznanym nam języku, w którym pocztmistrz wyczytał twe nazwisko drukowane wielkiemi literami (mowa tu o waszym Tygodniku mieszczącym me szwajcarskie opowiadania), wołał jeden.

— Wszak pan mówisz kilkoma językami i mógłbyś rozsądzać spory między Niemcami, Amerykanami i Kanadyjczykami francuzkiego pochodzenia, rzekł drugi.

Sam nie wiem czy przyjmę kandydaturę. Zamyślając wynieść się dalej, w głąb stepu, musiałbym często odbywać długie konne jazdy do miasteczka, lecz dochód z urzędu a raczej koszta płacone sędziemu przez strony wynagrodziłyby za stratę czasu. Gdyby nie okoliczność że zawdzięczałbym urząd Niemcom, przyjąłbym go bez wahania, lecz bez większości niemieckiej wybór mój nie doszedłby wcale do skutku.

Tu dodam, że tolerujące prawa amerykańskie nie wzbraniają używania języka najdogodniejszego dla stron i sędziego. Wyroki muszą być pisane po angielsku. Kontrakta, weksle, wszelkie akta nie tyczące się sprzedaży własności nieruchomej, a więc nie wymagające intabulowania w sądzie powiatowym, obowiązują bez względu na język używany przy spisaniu. Sędziowie pokoju nie umiejący po angielsku, muszą opłacać tak zwanego *clerka* (pisarza) do tłomaczenia wyroków.

Nie przeczę że propozycya Niemców pochlebiła cokolwiek mej miłości własnej, lecz wcale nie poprawiła mej opinji o całym narodzie, i części jego tu mieszkającej. Ile razy odwiedzę które z ich domostw, gdzie stajnie, stodoła, kuchnia i izby mieszkalne pod jednym dachem, gdzie widzę mężczyzn szyjących *) a kobiety spełniają ciężką pracę, gdzie omal szklanki wody nie podadzą bez zapłaty, wzdycham za gościnnemi Anglikami i Amerykanami o domkach tak schludnych, gdzie białe ręce i nieopalone twarze kobiet dowodzą, że nigdy nie spełniały usług męzkich, gdzie rozmowa nie bogata w komplementa lecz szczera. A przytem Niemcy wiecznie krytykują co ujrzą i przeczą wszystkiemu co mówię, choćbym tylko twierdził, że dwa a dwa są cztery. Każdy niemiec wygląda w mych oczach jak chodząca negacya, lecz choć zręczny w przeczeniu, sam nie umie podać nic pewnego. Wszak poemat odźwierciadlający najwierniej cały ten naród, wykwint genijuszu teutońskiego *Faust* niezrównany, jest najwyższą i najpiękniej wyrobioną negacyą. Któryż z czytelników wydobył choć jedno ziarno mądrości tworzącej a nie niszczącej z Fausta? Czy choć jednego pouczyła ta książka, co jest prawdziwym celem istnienia?

Nie chcąc zmieniać mych opisów podróżnych w pismo polemiczne anty-niemieckie przechodzę do Amerykanów. Wspomniałem już o awanturniczości, życie włóczęgowskiej rodzin całych, o stosunku kobiet i mężczyzn. Dodam jeszcze że nie znam narodu gdzieby bardziej pobłażano dziatwie. Każdy malec tutejszy czy to w skutek pobłażliwości czy innej przyczyny, ma jak to mówią starą głowę na karku. Często dziwiła mnie przebiegłość dzieciaków kilkunastoletnich w drobnych pieniężnych sprawach, i powaga z jaką rozprawiają o rzeczach niezdających się zajmować wyobraźni innych dzieci.

*) Jako dowód ich nieuczynności przytoczę, że wszelkiemi środkami utrudniają nowoprzybyłym *nieniemcom* osiedlenie się na stepie. Pomimo obfitości i taniości siana żaden z nich nie chciał mi sprzedawać paszy dla mej chudoby, raczej wożąc ją do odległego miasta, chociaż ja miejską cenę w gotówce ofiarowałem.

Raz wracałem saniami z miasteczka i nie znając jeszcze najkrótszej drogi, rad byłem że bęben 10-letni niosący spory koszyk, przysiadł się na sanie. Przez godzinę prawie bawił mnie opowiadając kto się żeni w sąsiedztwie, kto ma długi, kto pożycza pieniądze na lichwę, który kowal źle kuje konie i t. p. Słowem powtórzył wszystkie plotki słyszane od rodziców. Wreszcie dojechałem do porządnego domku, gdzie mnie pożegnał mówiąc, że tam mieszka ojciec jego.

— Jakże daleko ztąd do N. N. (mego gospodarza) zapytałem?

— Osiem mil, odrzekł.

— Wszak ujechaliśmy przeszło 5, a z miasteczka było tylko 7. Pan tak pilnie słuchałeś mego opowiadania, że nieuważałeś gdzie droga pańska zawróciła się na zachód.

— Czemuż mnie nie ostrzegłeś?

— Nie taki ja głupi. Wszak wiozłeś mnie do domu a mając dobre konie, możesz śmiało puścić się wprost przez prairie w południowo-zachodnim kierunku i zajechać do domu przed nocą. Mnie oszczędziłeś trzy mile chodu.

— Tyle sprytu w tak młodej głowie źle rokuje na przyszłość, zawołałem zacinając konie.

Dorośli, choćby najubożsi, posiadają rodzaj pewności siebie, przypisywany Turkom. W istocie jak na Wschodzie żebrak uliczny nie wzdryga się wejść do pokoju baszy, tak i tu lada farmer w mokasynach i bluzie, podaje bez wahania rękę posłowi. W *sanctum* bankierskim w Nowym Ulmie widziałem takich panów rozpierających się z równą pychą jak sam kasyer, żujących prymkę i plujących w piecyk. Kapelusze i czapki równie niechętnie uchylają jak nasi izraelici. Ciekawość ich bez granic, często przechodzi w natrętство, bo nawet o familijne me stosunki pytają bez wahania. Słusznie rzekł jakiś pisarz tutejszy, że nasz prezydent jest najnieszczęśliwszą osobą w świecie. *Dom biały* dany mu na mieszkanie w Waszyngtonie wiecznie pełny ciekawych natrętów; trudno ich wygnać nawet z sypialni, gdyż każdy prawdziwy Yankes uważa się za współwłaściciela i bliskiego i każdego innego rządowego pałacu.

Pewność siebie pochodzi tu poczęści z samorządu gminnego i powiatowego.

Większość cokolwiek ukształceńszych obywateli, zajmowała z kolei tę lub ową urzędową posadę i ocierała się o sfery rządzące; zresztą i najwyższe osoby pochodząc z ludu i przez lud podwyższane do niedługo trwających godności, nie mogą tworzyć koteryi wyłącznych.

Nasza autonomija gminna zadowolniłaby najkorniejszego federalistę. Jedyny strażak, sędzia pokoju, asesor taksujący naszą własność, by rozkładać podatki, i komisarz reprezentujący nas na powiatowych zjazdach, obierani co lat parę zawiadują gminą. *Clerk* ów który pieprz czy masło ważył, gdy przyjmował mą obywatelską przysięgę, kasyer szeryf i wyższy sędzia, starczą dla powiatu. Sejm i gubernator rządzą stanom. Mundurów tu nie ujrzysz, klasa oficyalna nie istnieje. Niestety podatki nasze ciężkie, w skutek wielkości długu państwa, a kasyerowie nie bardzo uczciwi. Lecz i pierwsze i drugie złe tak nam dokuczyły, że zabraliśmy się na seryo do reformy i do wglądania ścisłego w rachunki panów republikanów, którzy poczęli uważać Rzeczpospolitą za dojną krowę.

Spóźniona pora roku nie pozwoliła mi dotąd przypatrzyć się dokładnie ludowym szkółkom. Większość dzieci ma być pochopną do nauki i nie dziw, gdy widzą bezustannie jak starsi chętnie czytają, i gdy słyszą pochwały ludzi wykształconych.

Jako nieznany i ubogi podróżnik, nie mogę się uskarżać na męczące odwiedziny ciekawych gazeciarzy i tłumów. Osobom znakomitym jak np. Dicken-

sowi nie mało dokuczył ten zwyczaj *interview* (oglądania), praktykowany tu bez ogródki. Nawet sprytnego złodzieja odwiedzają stenografowie, by później powtórzyć dosłownie co zeń wyindagowali. Niedawno przybył do Nowego Ulmu jeden z posłów naszych, a oprócz dwóch specyalnych należących do dwóch gazet powiatowych, przeszło 40 osób go odwiedziło by *shake hands* (ścisnąć go za rękę) i nudzić go pytaniami.

Uszanowanie dla kobiet i dla uczonych cechuje ogół. Wysyłanie niewiast w pole, uważają jako zbrodnię wyłącznie niemiecką. Gospodarz mój często mi opowiada, że niemcy nigdy się nie żenią z wątłemi choćby pięknemi niewiastami, bo nie mogą je zaprzęgać do pługa.

Jak zaś czczą uczonych dowodzi ogólna żałoba za zmarłym niedawno Agassyzem. Słynny ten geolog podróżny i alpejczyk, o którego szalecie na lodowcu Aary pisałem obszernie, zgasł przed niezbyt dawnym czasem, w przybranej swej ojczyznie Ameryce. Kiedy dziennik i dzienniczek tutejszy poświęcił mu długi nekrolog, w chatach Minnesoty słyszałem wyrazy żalu za „poczciwym i mądrym Szwajcarem, który przeniósł swobodę amerykańską i szacunek współobywateli, nad europejskie tytuły i honory.“ Do owej chwili nie podejrzywałem, że mieszkańcy chaty słyszeli o Agassyzu, do dziś pewny jestem że tylko wiedzą iż był człowiekiem bardzo godnym, uczonym i kochającym Amerykę.

Mniej pochlebnie wyrażę się o uczciwości wielu mych współobywateli. Jest ona bardzo względną. Po dobiciu targu dotrzymują święcie słowa, lecz przy targu używają rozmaitych fortelów. Małe kradzieże nieznane prawie pomiędzy niemi i Niemcom pozostawione, lecz oszustwa na wielką skalę nie bardzo ich rażą, byleby sprytnie wykonane. Bezustanne doniesienia w gazetach, że ten lub ów podskarbi przeniewierzył się w znacznej kwocie, że ten albo inny deputowany ściągnął na siebie podejrzenie brania łapowego, nie wywołują innych uwag, oprócz „ile też on wziął.“

Podczas gdy często mój domek niezamknięty i nic z tego nie utraciłem, kilkadziesiąt morgów lasu należące do kolei żelaznej w pień wycięto tej zimy i rozwieziono zeń drzewo, bo sumienie tubylców nie pozwala okradać biednego początkującego gospodarza, lecz nie wzbrania niszczyć znienawidzone towarzystwo.

Znaczną część tego drzewa zawieźli jako daninę do pastora sekty metodystów, najliczniejszej i najczynniejszej w Ameryce. Nie mówiąc pastorowi zkąd pochodzi paliwo zbyli się i kradzionego drzewa i wyrzutów sumienia, że pasterz ich dusz dzwonił zębami od chłodu.

Ze wszystkiemi wadami lubię jednak ich hardość w ciągłem podbijaniu dziczyzny, gotowość do pomagania przybyszowi radą i uczynkiem, i praktyczność w wypadkach niezwykłych. Co do ostatniej to miałem liczne już dowody, że żaden wypadek nie zbije Yankesa z konceptu, żadne rzemiosło nie przychodzi mu na opak.

Ktokolwiek wżył się pomiędzy lud nasz przekonał się, że wszyscy obywatele bez różnicy, czy tu, czy w Europie urodzeni, czy krwi angielskiej, skandynawskiej, teutońskiej lub innej sumiennie przekonani, że nad nasze ustawy nie ma lepszych, nad nasz kraj szczęśliwszych. Raz w licznem towarzystwie odważyłem się chwalić ustawy australskie, lecz zagłuszono mnie jednogłośnie. Ja sam im dłużej tu bawię, im lepiej poznaję lud i ustawy przesiąkam czcią ku naszym, często dziwacznym lecz postępowym stosunkom i co raz goręcej miłuję mych nowych współobywateli, pomimo wad wyliczonych powyżej.

Uwzględniając że trudno uniknąć pewnego zepsucia gdzie się gromadzą awanturnicy świata, głęboko przekonany, że większość ludności chciwa najlepszego lekarstwa na zepsucie—oświaty, nielękając się by przy decentralizacyi władzy jakikolwiek zamach stanu przewrócił obecny porządek, spokojnie spoglądam w przyszłość i wyczytuję z niej mnogie lata pokoju i szczęścia dla mej obecnej gospody.

Wątpię czy nawet genijusz taki jak Napoleon I-szy potrafiłby tu wyprawić drugie 18-go Brumaire, gdzie nie ma ani grenadyerów chętnych do rozpędzania izby, ani departamentów przyjmujących ślepo rozkazy stolicy. Zamach Stanu w Waszyngtonie nie sięgnąłby po za Waszyngton, gdyż każdy stan nasz uorganizowany jak niepodległe państwo, posiada i chęci i środki do samoistnej walki za konstytucyę obecną. Czy ta samoistność pojedynczych części nie zagraża na przyszłość powtórnym rozbratem i wojną secesyjną, nie śmiem wyrokować. Dziś nie przeszkadza ona jednolitości państwa zupełnie jak w szwajcarskich kantonach. Zanim jakikolwiek wywrót nastąpi, nie lękam się osiąść pomiędzy ludźmi, których opisałem z chęcią przedstawienia ich w prawdziwem świetle. Zabawię pomiędzy niemi lat kilka bezustannie a pewno i kości tu złożę.

Jeżelibyś kiedy polski mój czytelniku, wiedziony ciekawością zajechał do Minnesoty, i minąwszy Nowy Ulm o jakie 30 mil angielskich, wysiadł z wagonu na stacyi składającej się z jednego domku, rusz wprost w południowo-zachodnim kierunku. Przebrnij rzekę, zostaw po prawej ręce spore jezioro, i patrz pilnie czy nie ujrzysz samotnego drzewka o dwie mile angielskie od brodu. Drzewko to, koło którego niegdyś 5 osób oskalpowali Indyanie, leży tylko o 4 mile angielskie wprost na zachód od mego domu. Gdybyś jednak chybił, moje i sąsiadów mych zagrody, dopiero o 70 mil dalej spotkasz osadę z kilkunastu chat rolniczych i traperskich; gdy te chybisz zabłądzisz pomiędzy Indyan Dakoty. Lepiej więc byś czekał koło drzewka, aż się zjawi jeździec jaki, który ci pokaże drogę wybitą przez bawoły i Indyanów w bardzo dawnych czasach, więc zatartą cokolwiek. Powie ci on, że ta ścieżka prowadzi do domu *pioniera polskiego*, a jeżelibyś zeszedł z tej dla nas jak dzień jasnej drożyny, nigdy się nie zdasz na pioniera Minnesoty.

Jeżeli trafisz pod skromną mą strzechę, z podolską gościnnością podzielę się czem chata bogata.

Tymczasem żegnaj mi drogi ziomku!

(d. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

(Dokończenie).

Powód ostatnich zajść między krytykami lwowskiemi a dyrekcyą teatru i jej organem był bardzo niewinny. Dyrekcya sprowadziła sobie dwie śpiewaczki z Włoch dla opery stałej i napisała o nich w swoim organie, że są to istoty „piękne ale drogie“! Zaraz po pierwszym występie Włoszek organ teatralny dodał, że obie są także znakomitemi śpiewaczkami, o czem w pierwszej wzmiance zapomniał widocznie pod przygnębiającem wrażeniem finansowej części warunków kontraktowych. Recenzenci lwowscy przyznali zgodnie, że obie śpiewaczki włoskie są ładne, uwierzyli dyrekcyi na słowo, że są drogie ale pozwolili sobie zrobić uwagę, że obie są tylko dobremi artystkami a do tytułu znakomitości nie mają jeszcze prawa. Publiczność słysząc taki sąd od recenzentów nie związanych żadnemi osobistemi względami z dyrekcyą, nie spieszyła się oglądać owe „piękne, drogie i znakomite Włoszki“, nie sławiła zasługi położonej przez dyrekcyę w skutek pozyskania takich sił dla lwowskiej opery, jednem słowem wcale obojętnie czytała afisze zapowiadające drugi, trzeci i t. d. występ panien Marco i Gabbi (tak się nazywają obie Włoszki). Próżna kasa po wielkich wydatkach jest niezawodnie rzeczą bardzo przykrą dla dyrektora teatru, ale ztąd nie wynika jeszcze, że za to wolno temuż dyrektorowi odsądzać recenzentów od wszelkiej znajomości rzeczy i dobrej wiary w stylu prawdziwie straganiarskim. Byłoby to oburzającem, gdyby arcypocieszna forma tej dziennikarskiej chłosty nie pobudzała przedewszystkiem do śmiechu.

W tej chwili dyrekcya teatru nie może liczyć na tak daleko idącą pobłażliwość publiczności, ażeby ona stawała po jej stronie mimo jaskrawych uchybień organu dyrektorskiego przeciw taktowi, słuszności a nawet prostej przyzwoitości. Publiczność ma słuszny żal do dyrekcyi, że pozwoliła wyjechać ze Lwowa tak znakomitej artystce jak pani Zimajer, że nietylko nie starała się nakłonić jej do pozostania we Lwowie, lecz owszem chętnie patrzyła na wyjazd artystki zawadzającej wyborną grą swoją inszym wprawdzie przez dyrekcyę protegowanym, ale mimo to dopiero początkującym kandydatkom do pierwszorzędnego stanowiska. Pani Zimajer była wielką ulubienicą publiczności lwowskiej, która pewnie nie tak prędko oswoi się z jej wyjazdem. Ale żalu nie mogą mieć za to do p. Zimajer jej najwięksi wielbiciele, bo smutną byłoby rzeczą, ażeby artystka znakomita znosiła kaprysy dyrekcyi przyzwyczajonej do lekceważenia najzasłużeńszych artystów i artystek, jeżeli tylko zawadzają jakimś celom ubocznym.

Dla teatru uchwalił w tym roku sejm nasz subwencyę w takiej samej wysokości jak dotąd t. j. 12000 złr. Dyrekcya wniosła petycyę w której prosiła o 30,000 złr. a przynajmniej o pożyczenie 18,000 złr. na budowę letniego teatru. Do wniesienia takiej petycyi trzeba było niepospolitej odwagi cywilnej, bo właśnie w tym roku kraj nasz dotknięty okropnym niedostatkiem musi odmawiać sobie zaspokojenia wielu żywotnych potrzeb, ażeby oszczędzonym groszem mógł przyjść w pomoc włościanom głód cierpiącym i pozbawionym żywego inwentarza do uprawy roli. Jeżeliby sejm był uchwalił 30,000 złr. dla dyrekcyi teatru, to biorąc na uwagę stosunek sił i zamożności, teatr w innych zamożniejszych krajach musiałby pobierać krociowe subwencye. Zresztą poprzedni dyrektor p. Adam Miłaszewski brał od kraju tylko trzecią część tego, co otrzymała dyrekcya dzisiejsza a zaprawdę scena dzisiejsza nie jest trzy razy lepszą od dawniejszej. Ale Miłaszewski nie był wydawcą i redaktorem codziennego, wpływowego pisma i dlatego za tę mizerną subwencyę znosić musiał nieustanne wyrzuty i pretensye.

Nakładem księgarni D. E. Friedleina a pod redakcyą kustorza Jagiellońskiej biblioteki dr. Władysława Wisłockiego, wychodzi w Krakowie biblijoteka przedruków. Wydawcy mówią w prospekcie, że podejmują w swojem wydawnictwie myśl podjętą w r. 1871 przez J. I. Kraszewskiego. Niezmordowany ten pisarz zamierzał wówczas wydać pod ogólnym tytułem przedruków, cały szereg rzadkich pism polskich z XVI—XVIII wieku. Krakowskie wydawnictwo przedruków przyjęło taki format, ażeby stanowiło niejako dalszy ciąg przerwanej biblijoteki polskiej K. J. Turowskiego, który przed kilkunastu laty przypomniał naszej publiczności skarby literackie z dawnych okresów ale tak małe znalazł poparcie, że straciwszy kapitał zakładowy musiał zaniechać wielce pożytecz-

nego przedsiębierstwa. Dotąd wyszły dwa zeszyty biblijoteki przedruków, z których pierwszy zawiera: „Bartłomieja Zimorowicza Hymny na uroczyste święta Bogarodzicy“ a drugi dwa razy większy „Erazma Glicznera książki o wychowaniu dzieci“. Hymny B. Zimorowicza wydane obecnie w Krakowie są białym krukiem biblijograficznym i nie znane były pewnie żadnemu z pisarzy, którzy oceniali dzieła i stanowisko literackie ich autora. Że obecnie doczekały się rozpowszechnienia, jestto jedna z wielu zasług biblijotekarza uniwersytetu Jagiellońskiego dra Karola Estreichera. Z obszernego, krytyczno-biblijograficznego wstępu dra Władysława Wisłockiego wyjmujemy ustęp, który zawiera ocenę dzieła: „Z wielu względów pisze dr. Wisłocki, zasługują hymny na bliższe poznanie. Wprawdzie pod względem artystycznym nie można im przyznać ani gładkości i potoczystości w wierszu samym, ani mocy i czystości co do języka, ani miejscami wytwornej składni, co wszystko nasi krytycy w jego sielankach słusznie podnoszą. Hymny wyszły na 23 lat przed sielankami i noszą na sobie wszystkie zalety i wady dawniejszych płodów Bartłomieja Zimorowicza: obejmują szlachetne myśli i napisane są wierszem czystym i płynnym, obfitym w wyrażenia poetyczne, choć w rymowaniu naciąganym i stylem niekiedy szumnym.

Wydanie hymnów Zimorowicza jest cennym nabytkiem literackim bo dostarcza historyi literatury nowych a ważnych szczegółów o jednym z najlepszych poetów polskich. Ale jeszcze cenniejszym wydaje nam się przedruk dzieła Glicznera, bo odsłania przed nami zupełnie nieznaną a w każdym razie znakomitą osobistość literacką. Dotąd dzieła Glicznera znane były tylko z jedynego egzemplarza, który posiada biblijoteka Ossolińskich we Lwowie. Z tego egzemplarza zasilał się Linde w r. 1807 układając swój wiekopomny słownik języka polskiego. W obszernych historyach literatury polskiej i w najnowszych kompilacyach nie znalazł wydawca dr. Władysław Wisłocki takiej wzmianki o Glicznerze, któraby świadczyła, że autorowie znali z jego dzieła coś więcej oprócz samego tytułu. Dopiero F. M. Sobieszczański napisał w Encyklopedyi Orgelbranda treściwszą rzecz o Glicznerze nazywając jego dzieło pedagogiczne „bardzo ważnem a do historyi obyczajów i wychowania ówczesnego jedynem“. Profesor gimnazyalny z Galicyi St. Sobieski znał także bliżej dzieło Glicznera i zaliczył je w swoich zasadach wychowania i nauki do „skarbów naszej pedagogicznej literatury“. Dr. Władysław Wisłocki, który będąc długi czas zatrudnionym przy biblijotece Ossolińskich we Lwowie, jest kompetentnym do wydania trafnego sądu, tak ocenia przedrukowane obecnie dzieło Glicznera: „Proza jego nie jest pierwszorzędną ale za to treść sama książek zasługuje ze wszechmiar na uznanie. Wprawdzie nie są one dziełem pedagogicznem w całem tego słowa znaczeniu, ujemną ich stronę stanowi okoliczność, że pisane są tylko dla rodziców a nie dla nauczycieli, ale wartość ich rośnie, gdy zważymy, że to pierwsze w ogólności oryginalne dzieło pedagogiczne, przez Polaka pomyślane i po polsku napisane. Inne bowiem dzieła podobnej treści, któreśmy mieli w w. XVI, to albo prace obcych autorów lub po łacinie napisane, albo tłomaczenia z obcych języków, jak Reinharda Lorichiusa: Księgi o wychowaniu i o ćwiczeniu każdego przełożonego, przekładu Koszuckiego z r. 1558, lub Uberlina Książeczki rozkoszne o poczciwem wychowaniu dziatek przekładu Marcina Kwiatkowskiego z r. 1564.

B. Ł.

Korespondencya z Włocławka.

Do najmilszych i najstosowniejszych zajęć kobiecych po za obrębem domowych obowiązków, należy bezwątpienia kwiaciarstwo. Z jednolitej materyi wytwarzać różnobarwne kwiaty, układać z nich bukiety i wieńce, oto co odpowiadać może estetycznemu gustowi kobiecemu, rozwijać zamiłowanie i doprowadzić do artyzmu. Z drugiej znów strony wyrób umiejętny kwiatów, zapewnić może specyalistom dobrobyt materyalny, gdyż o ile wiemy inne kraje a mianowicie Rossya posiłkują się kwiatami z naszych fabryk a znaczne transporta wysyłane za granicę nie mogą dopełnić wymagalnej ilości — bo Warszawa kilkoma tylko zakładami poszczycić się może. Na prowincyach dotąd brakuje ich zupełnie a miasteczka nasze na pruskich wyrobach poprzestawać musiały.

Oto co skłoniło przełożoną pracowni naszej, panią Agnieszkę Bufle do założenia kwiaciarni na wyższą skalę, w której kobiety mające po temu zdolności kształcić się mogą pod przewodnictwem fabrykantki paryzkiej, osoby fachowej odpowiadającej z całą sumiennością zadaniu swojemu.

To też pracownia kobiet w Włocławku poszczycić się może artystycznie wykończonemi kwiatami, które największe wymagania zadowolnić potrafią pod względem naturalności, barwy i układu.

Szczerze też zachęcamy kobiety nasze do miłej tej nauki, pracy dla nich jakby stworzonej, do wyrobu kwiatów, gdy jest sposobność po temu, a gdy rąk ochoczych nie braknie będzie nam lepiej. Nie będziemy wyczekiwać transportów z nad Sprei, a same zaczniemy wysyłać w dalsze krainy pracę rąk własnych.

Że Polki nasze nie lubią bezczynności a miłują zajęcie mamy dowód z tejże pracowni, w której od jej trzechletniego założenia wyszło już wiele kobiet wykształconych fachowo w rzemiosłach jako to: szewctwie, introligatorstwie, rękawicznictwie jako też w szyciu bielizny, kroju i wyrobu koronek.

Wychodząc uzdolnione zakładają pracownie w innych miastach, zachęcają kobiety do ogólnej pracy a dobrobyt kraju pomnaża się — przyszłość nasza i przyszłych pokoleń staje się lepszą i pewniejszą.

Tego rodzaju emancypacya, równouprawnienie na drodze pracy godne jest czci i zachęty. Prócz tego p. Bufle w zakładzie swoim otworzyła szkołę niedzielną w której młode uczennice kształcą się w buchalteryi i językach a mianowicie: niemieckim, francuzkim i angielskim. Rysunki, muzyka, tańce i śpiew również nie zostały pominięte.

Słowem pracownia kobiet w Włocławku rozwija się bardzo pomyślnie a pożyteczne cele Przełożonej znajdują sprawiedliwe uznanie i ocenienie. Wiek nasz postępowy słusznie nazwaćby można złotym wiekiem dla kobiet — bo pojęły zadanie życia *pracę*, nie odwracają się od niej jak dawniej, nie wstydzą się rzemiosła, usamowalniają się szlachetnie i nie licząc jedynie na owoc pracy ojców, braci i mężów swoich, stają się opiekunkami rodzin swoich i wsiewają ziarno chlebodajnej przyszłości.

Praktyczność w życiu droższą jest nad wszystko, zabija nudę — niszczy mrzonki, broni od zgubnej egzaltacyi.

Do pracy więc—miłe rodaczki nasze a Bóg wspierać nas będzie i bronić od upadku na obranej szlachetnie drodze.

S. B.

Przegląd literacki.

Odpowiedź na recenzyę p. Ludwika Niemojowskiego, zamieszczoną w Nr. 11 Tygodnika Mód i Powieści *).

Rozumna i uczciwa, choćby najsurowsza krytyka jest nieodbicie potrzebną w piśmiennictwie, i taka nietylko nie ściąga niechęci, ale owszem wdzięczność wywołuje. Ale jeżeli recenzent poznawszy zaledwie okładkę książki, postanowił nieodwołalnie potępić ją to już przechodzi zakres zwykłej krytyki, i zakrawa na napaść wywołującą konieczną obronę.

Tego rodzaju recenzyi uległo dziełko Fryderyka Gerstaeckera, które opracowane przeze mnie i zastosowane dla czytelników polskich, wyszło świeżo pod tytułem: „Jak wygląda świat, i co się na nim znajduje.” Wszystkie prawie organy prasy peryodycznej odezwały się o tej książce z uznaniem i zachętą; nie obeszło się nawet bez krytyki; *Kłosy* wskazały mi niektóre lekkie usterki, za co nie tylko się nie gniewałam, ale parę z nich uznając za słuszne, zaznaczyłam skwapliwie, ażeby je sprostować przy drugiem wydaniu, które da Bóg, wkrótce może nastąpi. Jednogłośnie i przez czytelników i przez recenzentów dziełko to uznane zostało za dobre i pożyteczne, jeden tylko Tygodnik Mód i Powieści, rzucił na nie gromem potępienia, i skazał na śmierć w pyle księgarskim, jako całkiem nieodpowiadające swemu zadaniu, bo *szerzące fałsz zamiast nauki*.

Ażeby się o tem przekonać przystąpmy do rozbioru licznych zarzutów, wyszczególnionych w recenzyi p. Ludwika Niemojowskiego.

1) Recenzent chwali łaskawie pierwszą część dziełka, w dalszym zaś ciągu „ulega bezwarunkowemu rozczarowaniu”, zapewne dlatego, że w pierwszej części, jak z porządku rzeczy wypada, jest więcej nieco gawędy, niż w dalszych. Dziełko to przeznaczone dla dzieci nietylko do czytania ale i do nauki, nie uważałam więc za stosowne powiększać jego objętości, — przeciwnie, starałam się skracać, skoro tylko dało się to zrobić bezkarnie; wyrzucałam więc gadaninę, niezgodną z duchem naszego języka, i nie przedstawiającą związku z przedmiotem traktowanym — umieszczałam tylko takie pytania i rozmowy które wywołują jaśniejsze określenia, lub zachowują całemu dziełku charakter pogawędki.

2) Drugi zarzut p. N. jest, że dzieci robią pytania raz zbyt mądre, to znów zbyt naiwne. Każdy, kto pracuje nad rozwojem umysłu dziecięcego, przyznać musi, że podobne przeskoki są właśnie zupełnie naturalne. Zresztą, gromiąc tak srogo biednego Józia za to, że chce przebyć cieśninę Torresa „przeskakując z wyspy na wyspę”, nie chce p. N. widzieć, że ojciec mówi, opisując tę cieśninę (str. 286): „ciągnie się tam cały szereg wysepek i raf koralowych“, co łatwo mogło wprowadzić w błąd malca 8—9 letniego. Naiwne jego pytanie ma nadto swój cel: dokładniejszego określenia przestrzeni dzielącej te wyspy i skały.

3) Dalej pisze recenzent: *„w rozdziale IX traktującym o zwierzętach w ogóle europejskich, gdzie znowu, pogwałciwszy wszelkie zasady zoologji, lisa a nawet niedźwiedzia w liczbie drapieżnych zwierząt zamieszczono”*. Zbyt dobrze trzymamy o ogóle czytelników naszych, abyśmy potrzebowali odwoływać się do wszystkich dzieł zoologicznych i najelementarniejszych podręczników tej nauki, i przekonywać

*) Na wszystkie bez wyjątku zarzuty wystosowane przeciwko mnie w niniejszym artykule, odpowiem w przyszłym Numerze Tyg. Mód i Powieści.

Ludwik Niemojowski.

na ich powadze, że lis, a nawet i niedźwiedź nie są ani czwororęcznemi, ani czworoskrzydłemi, ani owadożernemi, ani gryzącemi, ani wreszcie kopytnemi lub wodnemi, lecz rzeczywiście mięsożernemi czyli drapieżnemi zwierzętami, t. j. takiemi, które w każdej szczęce posiadają po sześć siekaczy, po dwa ostre kły, i po dwa trzonowe większe od innych, zwane zębami mięsożernemi. Są to wiadomości znane dzieciom nawet w szkółkach elementarnych.

4) Wyżej wymienione zarzuty błahemi się wydają, gdyż są rzeczywiście takiemi w obec następnego przytoczenia tekstu wypisanego nibyto dosłownie.

„Ludożercami", mówi ojciec, „*nazywamy* takich ludzi, dla których mięso ludzkie jest zwyczajnem pożywieniem. W głębi Sumatry żyje lud, który morduje i pożera swoich jeńców wojennych, ale to nosi na sobie charakter obrządku religijnego. Tak było i *będzie* zawsze" (str. 327).

Zajrzyjmy do książki (str. 326 i 327); tam powiedziano: „Ludożercami *nazwałbym* tylko tych ludzi, dla których mięso ludzkie byłoby zwyczajnym posiłkiem, jak z każdego innego zwierzęcia. W głębi Sumatry żyje wprawdzie lud, nazwany *Battasy*, który morduje i pożera swoich jeńców wojennych, ale dzieje się to najczęściej po zaciętej bitwie, i nosi na sobie charakter obrządku religijnego, i ja myślę, że *tak było wszędzie i zawsze*. Bo czyż podobna przypuścić, żeby człowiek zabijał człowieka jedynie w celu przygotowania sobie uczty z jego ciała!"

Dla czegóż p. Niemojowski opuszcza i przekręca wyrazy podnoszące ludzkość, a natomiast wkłada swoje, i to takie, które nadają całemu okresowi myśl skeptyczną?... Dlaczego wtrąca tu dwa razy wyraz *będzie*, raz w przytoczonym nibyto tekście, drugi raz natrząsając się z „poczciwego ojczulka, który podobnemi naukami karmi swe dzieci?" Wyraz ten, wsunięty przez siebie samego, recenzent pisze kursywą, i gorsząc się sam własną swoją kompozycyą, opatruje go dużym znakiem zapytania. Na karb pomyłki zaiste kłaść tego nie można, a choćby i tak było, to krytykowi w podobny sposób mylić się *nie wolno*, gdyż nie jest zapewne dla niego tajemnicą dokądby go podobna pomyłka zaprowadzić mogła. Więc jak rozumieć owo przekręcenie tekstu, który, sam jeden, tak jak został ułożony przez p. Niemojowskiego, wystarcza prawie do potępienia dziełka. Nie jestże to prosta chęć szkodzenia jakimkolwiekbądź sposobem autorowi i tłomaczowi? Nie jestże to lekceważeniem sprawozdawców innych pism peryodycznych i ogółu czytelników? Nie jestże to najgrawanie się z wszystkich praw boskich i ludzkich?

Drugi podobny fakt zawiera się w recenzyi w tem miejscu, gdzie p. N. zarzuca mi, że „Dla braku *popularniejszych określeń* przytaczam żywcem całe ustępy z dzieł Liwingstona, Lejchardta, Burkego i Bakera." Najprzód brak poprostu sensu, brak zrozumienia ducha wyrazów w tem zdaniu. Czyż można uzupełniać jakieś *popularniejsze określenia* przytaczaniem całych ustępów najsławniejszych podróżopisarzy? Dzieła te są mi niezawodnie oddawna znane, ale opracowując Gerstaeckera żadnego z nich nie miałam pod ręką. Najłatwiej jednak dowieść recenzentowi prawdy swego twierdzenia, wskazując stronnice wyżej wspomnianych opisów podróży, i przytaczając ustępy, które *żywcem* z nich wypisałam.

Dalej ubolewa p. N. że Syberya jest opisana zupełnie fałszywie. Recenzent pisze: „P. Zajączkowska przepolszczając pracę p. Gerstaeckera winna była poprawić błędy autora, tymbardziej że książka dla młodego pokolenia przeznaczona, mniej aniżeli jakakolwiek inna może grzeszyć niesumiennem podawaniem faktów."

Zobaczmy w czem dopatrzył recenzent owej *niesumienności*.

a) Najprzód podług p. N. „pominęłam zupełnie wzmiankę o przejściu Syberyi pod panowanie Rossyi:" Str. 330 i 331 świadczą, że w dwóch miejscach jest o tem mowa. Trzeba tylko chcieć widzieć.

b) Wyliczając plemiona pierwotne i miasta Syberyi, nie dopuściłam się wcale „trudnych do darowania zboczeń", bo kreśląc ogólny tylko zarys ziemi, nie dzieliłam żadnego kraju, a zatem i Syberyi na prowincye, powiaty i obwody, mając na pamięci, że nagromadzenie imion własnych nie odpowiadałoby celowi dziełka przeznaczonego dla małych dzieci, i wszędzie umieszczałam tylko miasta koncentrujące w sobie główny ruch handlowy, i dla tego samego powodu wymieniałam niektóre tylko plemiona. Posiadłości azyatyckie państwa Rossyjskiego tem mniej przedstawiały do tego pola, że zamieszkane są przez mnóstwo różnorodnych plemion. Czukcze wymienieni są dla tego tylko, że pokolenie to styka się z podobnem sobie na północno-zachodnim krańcu Ameryki, i że nadało nazwę ziemi najdalej na północ wysuniętej (Czubockij-nos).

c) Zarzut, że sobole podane w dziełku za cenniejsze od lisów niebieskich, jest również płonny. Cena futer często ulega kaprysom mody — że więc lisy niebieskie z tego właśnie powodu chwilowo są wyżej cenione od soboli, to jeszcze nie dowodzi, żeby tak było dawniej i być miało na przyszłość; a sobole, nie ulega wątpliwości, zawsze najpierwsze miejsce trzymają w handlu futer.

d) Dalej gniewa się recenzent, i słusznie na pozór, że *Irkuck* nazwano miastem *zachodniej* Syberyi. Wina tu jednak nie spada ani na autora, ani na mnie, ale wprost na zecera — i, gdyby recenzent chciał był przypuścić, że dla każdego, kto posiada nawet najsłabsze wyobrażenie o geografji, nie jest tajemnicą, że *Irkuck* jest miastem Syberyi *wschodniej*, byłby się przekonał, czytając str. 329, gdzie powiedziano: Syberyę podzielić można na dwie główne części: zachodnią, aż do działu wodnego Obi i Jenisseju, i wschodnią zajmującą pozostałą przestrzeń aż do oceanu Wielkiego." Po takim podziale trudno się omylić co do położenia miasta, a recenzentowi zabierającemu się do uczciwej oceny jakiejkolwiek pracy, takich faktów pomijać nie wolno, i nie godzi się wkładać na autora prostej pomyłki zecera.

e) O religji ludów syberyjskich zrobiłam jak najkrótszą wzmiankę; nie chodziło tu bowiem ani autorowi, ani mnie o popisywanie się erudycyą i rozległemi wiadomościami w obec młodego pokolenia, ale o danie dzieciom ogólnego pojęcia o życiu i zwyczajach ludów rozmaitych.

f) Szkoda, że p. N. nie cytuje, jak zresztą w wielu miejscach to robi, stronnicy, na której całe państwo Niebieskie nazwane zostało Mandżuryą. Ciekawa byłabym ją widzieć.

g) W dalszym ciągu pisze recenzent: „Wyliczając podrzędne miasteczka *Mongolji* Mukden i Tsitsikar, pominięto milczeniem najznaczniejszy i ufortyfikowany gród tejże prowincyi Uliasutaj." Idąc za wskazówką geografów i map, sądziłam dotąd, że Mukden i Tsitsikar leżą w Mandżuryi, tymczasem p. Niemojowski, któremu „strony te znane są *osobiście*," utrzymuje inaczej. Sąd ogółu wskaże kto ma słuszność. W Mongolji zaś, idąc raz wytkniętym torem, nie wymieniałam fortec, tylko osady: Urgę i Kuren-Majmaczyn jako ożywione handlem.

Otóż i wszystkie owe „*niesumienne fakta*" w opisie Syberyi. Czyż nie spada tu cała *niesumienność* na recenzenta? Najbezstronniejszy sędzia zaprzeczyć temu nie może.

(d. n.)

NOWE WYDAWNICTWA.

Bajek La Fontaine'a z rysunkami Gustawa Dore'go w polskim przekładzie, wyszła księga czwarta obejmująca w sobie kilka zeszytów. Wydawanie w ten sposób tej pięknej publikacyi, jest znacznie dogodniejszem dla prenumeratorów i dla tego zaprowadzonem zostało. Księga którą mamy przed sobą odznacza się temi samemi wyższemi zaletami przekładu i wewnętrzną ozdobnością. Cena dla prenumeratorów obu pism naszych znacznie zniżona.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorce powieści Zwykłe koleje. Redakcye mogą się różnić w opinjach i zasadach, ale w ocenieniu pracy piśmiennej pod względem artyzmu to już różnicy w zdaniu być nie może. Jeżeli więc powieść tę jedna redakcya uznała że drukowaną być nie może, to muszą być ważne powody które się publikacyi sprzeciwiają. Sama Autorka zdaje się to przypuszczać, skoro prosi o zmiany i poprawki w rękopiśmie, które z rzeczą dobrze napisaną nie dadzą się pogodzić. Rękopismu więc nie odbierzemy z miejsca wskazanego, bo czytanie jego to praca zbyt wielka i mozolna aby się jej bez istotnej potrzeby poświęcać. Prosimy o inną pracę a tę odczytawszy udzielimy zdanie z całą otwartością.

Pani Maryi D. w Nowej grobli. Osady rolne jest to rodzaj karnej Instytucyi, do której sądy na mocy wyroków wydanych przesyłają małoletnich winowajców. W czasie pobytu tam Zarząd stara się przyzwyczaić ich do pracy, umoralnić, nauczyć jakiego rzemiosła i dopiero zupełnie poprawionych zwrócić społeczności jako ludzi użytecznych a nie szkodliwych. Obcych choćby za opłatą nie przyjmuje się, tylko skazanych wyrokiem.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Апрѣля (9 Мая) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 19.

(Dokończenie).

Ciemne plisowanie u dołu spódnicy mające z przodu 29 cent. szerokości, od połowy przednich klinów jest skośnie ścięte u góry i zwężone do 21 cent. nad plisowaniem dana jest jaśniejsza, 8 cent. szeroka falbanka z nagłówkiem, która zachodzi 2 cent. na plisowanie. Nad falbanką naszyte są 4-ry pliski $3 \frac{1}{2}$ cent. szerokie, naprzemian ciemne i jasne. Taki sam, tylko znaczenie węższy garnirunek powtarza się przy tunice której bryt przedni jest w róg ścięty. Formę tuniki podajemy na Fig. 69—71, a na ryc. 38 przedstawiamy takąż samą tunikę, tylko równo u dołu zakończoną i kieszonką ozdobioną. Tunika przedstawiona na ryc. 37 zdaje się bardzo skomplikowana, a jednak jest bardzo łatwa, bo ząb przydany do jednej połowy przedniego bryta oznaczony jest na formie, a dalej garnirunek naszywa się w górę na brycie podług oznaczonej linijki na Fig. 69-a. Przedni bryt przymarszcza się z obydwóch boków od gwiazdki do dwukropka, w ten sposób ażeby z prawego boku skrócić go do 90, a z lewego do 75 cent. Odpowiednio do tej miary, tylny bryt zaszywa się z jednego brzega w cztery, z drugiego w 3 fałdy; rozporek urządza się z jednego boku.

N. 39—40. Ubranie z tuniką zapinaną z tyłu. Krój stanika, tuniki i spódnicy Nr IV Fig. 17—27-a.

Forma pleców stanika zastosowanego do pięknej i zręcznej figury, składa się z czterech części, z których środkowe są z odmiennej tkaniny. Ten rodzaj zestawienia odmiennych cieni lub deseniow ciągle utrzymuje się w modzie. Model sukni odrobiony z materjału gładkiego i w kratę, odznaczoną drobnemi prążkami. Przody mają także dodane części z materjału w kratę, których przyszycie oznaczone jest linijką na Fig. 17. Tunikę odmiennie podpinaną z każdego boku, podajemy rozłożoną na rycinie 40, formę zaś lewej części przodu, dopełnionej oddzielnym brytem na Fig. 24 i 25; prawą połowę tuniki kraje się w jednym ciągu z lewą, bez dodatku oddzielnego bryta, podług wzoru na Fig. 26. Dla większej zrozumiałości podajemy na zmniejszonym rysunku Fig. 26 i 24 całkowitą tunikę z oznaczeniem fałd, zmarszczek i złączenia bocznego bryta.

Tunikę krajać trzeba skośnie, brzegi każdej części objąć plisą 3 cent. szeroką, u góry założyć 3 cent. jedną część na drugą i wszyć w pasek, a dalej boki złączyć frendzlą albo torsadą, która stopniowo ma 5, 8, 11, 15 i 19 cent. długości. U góry tunika z prawej strony, 8 cent. od środka, ma zakładkę 3 cent. szeroką, dalej do 17 cent. długości spiczasto zwężoną i zaszytą, za którą w odstępie 7 cent. zaszywa się parę fałdek. Zbywającą szerokość w lewej połowie zakłada się w dwie, jedna przy drugiej fałdy z boku. Lubo oznaczyliśmy na formie miejsca na zaszycie podpięcia i przefałdowanie, te jednak nie mogą pasować do każdej figury, i muszą być na osobie wypróbowane.

Sposób krajania spódnicy do sukni i miary długości i szerokości podane są na Fig. 27—27-a. Garnirunek sukni ryc. 39, składa się z plisować 8 cent. i bufek 9 cent. szerokich, z których pierwsze są z materjału w kratę, a drugie gładkie. Ładny, odpowiedni do garnirunku sukni rękaw, przedstawia ryc. 41. Trzy razy z brzegów przemarszczana bufka na zwierzchniej stronie rękawa, układa się podług formy, plisowanie przy ręce ma 8—10 cent. szerokości, przepasanie nad plisowaniem jest przy zwierzchniej połowie gładkie a przy spodniej w kratę. Frendzla z kulek włóczkowych i kokardy ze wstążki dopełniają strojne przybranie sukni.

N. 43. Rękaw do ryc. 1 w Nr 18 Tygodnika.

N. 44. Okrycie wiosenne z frendzlą z kwaścików. Krój podług formy do ryc. 23—24.

Płaszczyk wigoniowy piaskowego koloru, podszyty takąż materyą, przyozdobiony jest naszyciem z szerokiej pletni, w górnym brzegu zakończonej grubym sutaszem. Dół i rękawy oszyte sutą frendzlą włóczkową; kołnierz stojący z ranwersem podszyty materyą i spięty kokardą ze wstążki.



N. 1. Ubranie ślubne. N. 2. Ubranie wieczorowe. Krój jak do ryc. 31 w Nr 5 Tygo. mód.

Opis do N. 20.

N. 1. Ubranie ślubne.

Zanim przystąpimy do opisu ryc. 1, powtórzemy poprzednio ogólne prawidła dotyczące ubrania panny młodej. Strój ślubny odznaczać się powinien świeżością i powabem a unikać zbytniego przepychu i blasku, dla tego też ciężkie i zbyt kosztowne materye jak mora, adamaszek, brocart i t. p., usunięte z niego być powinny, zwłaszcza dla młodziutkich narzeczonych. Najwięcej używane są suknie zupełnie gładkie formą princesse, które zarówno odrobić można z materyi jedwabnych jak i z cienkiego kaszmiru, lub innych miękich i dobrze układających się tkanin wełnianych. Suknie te garnirują się tylko u dołu, riuszą układaną w rurki z materyi lub podwójnie złożonego muślinu; forma princesse jest bardzo korzystna dla figur kształtnych i zręcznych ale wymaga nader starannego i umiejętnego odrobienia. Fałdy z tyłu spódnicy dają się tylkô przy pleckach, ułożone jedne na drugie. Do długości przodu wynoszącej 133 cent. od wykroju szyi, długość tylna wraz z trenem, jest 240 cent., a obwódki u dołu 500.

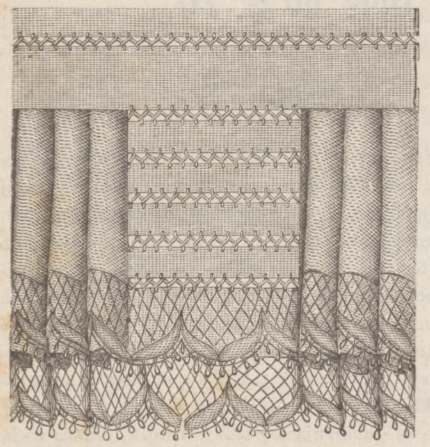
Suknię zapina się z tyłu na guziki przez całą długość, albo tylko w górze, o tyle żeby łatwo mogła być włożona; do szwów bocznych przyszywa się niezbyt szerokie szarfy z pięknej wstążki, lekko opuszczone i przewiązane w kokardy i węzeł. Stanik podszyję i wązkie rękawy, oszyte są także riuszą.

Najwłaściwsze jednak na obecną porę, są suknie z pięknego muślinu, z lekko i zręcznie ułożonym, 20 cent. szerokim garnirunkiem; muślin na falbanki i riusze niepowinien być obrębiany. Pod muślin nie daje się jedwabnego podwleczenia, tylko suknię dokładnie dopasowaną z perkalu lub batystu i muslinu. Stanik pod szyję zeszywa się razem z perkalu i muślinu do wcięcia w stanik, a spódnice oddzielnie; perkalowa może być ozdobiona haftem lub garnirunkiem a muślinowa tylko oszyta wązkiem, podwójnem plisowaniem. Suknia zwierzchnia jest zupełnie bez podszewki. Do sukien ślubnych jedwabnych lub wełnianych, używane także bywają długie staniki kirasowe, zawsze jednak do kościoła bierze się suknie podszyję i z długiemi rękawami. Welon z jedwabnego umyślnie na ten cel robionego tiulu, z przodu dochodzić powinien do kolan, z tyłu do obrębu trenu. Girlanda i bukiet z liści i kwiatów mirtowych. Suknie z ciężkiej materyi przybrane koronkami służą dla panien nie pierwszej młodości i dla wdów; te ostatnie w miejsce welonu przypinają barbkę albo mały szalik koronkowy i białe róże lub kwiat pomarańczowy.

Ryc. 1 przedstawia suknię z Faille, u dołu oszytą wązką w rurki ułożoną falbanką; rękawy na szwie wierzchnim naszyte riuszą z materyi, fryzka i mankiety z podwójnie złożonego *jedwabnego tiulu* lub krepledy. Welon trzyma 3—4 metrów w kwadrat, jest bez obrębu i ma dolne rogi zcięte okrągławo.

N. 2. Ubranie wieczorowe. Krój jak do ryc. 31 w Nr 5 Tygodnika mód.

Na sukni jedwabnej koloru crême, upięta jest w draperje spódnica z tiulu, krepy, albo tarlatanu, takiego samego



N. 8. Część garnirunku do kołnierzyka i mankieta N 6—7; wielkość naturalna.

lub białego koloru, garnirunek u dołu ułożony w bufki przestębnowane w kwadraty. Stanik z atłasu crême nie pokryty lekkim materjałem. Róże przy głowie i przy wykroju stanika dopełnionym z przodu koronkową szmizetką.

N. 3. Rozeta do ryc. 25—26 w Nr 21 Tygodnika mód.

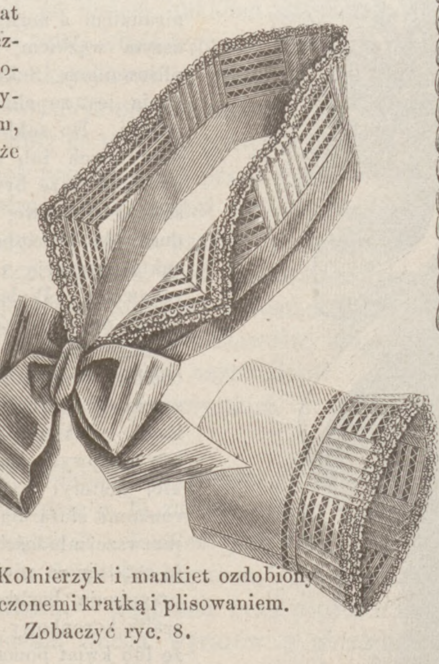
Robota szydełkowa z kwadratami z tasiemki i ząbkami z plecionki.

N. 4. Narożnik haftowany różno kolorowym kordonkiem.

Narożnik stanowiący jedną część ośmiokątnego przykrycia do koszyczka, na modelu odrobiony był na ponsowym kaszmirze, kordonkami w jasnych kolorach; w środku wyszyta była także ściegiem długim, ośmio promienna gwiazda. Deseń ten można z łatwością dopasować do kwadratowego pudełka, do cygarniczki albo książeczki z notatkami.

N. 5. Kwadrat siatkowy. Wyszyty à l'antique.

Pojedynczy taki kwadrat oszyty szlaczkiem siatkowym lub szydełkowym, służyć może



N. 6—7. Kołnierzyk i mankiet ozdobiony pliskami łączonemi kratką i plisowaniem. Zobaczyć ryc. 8.

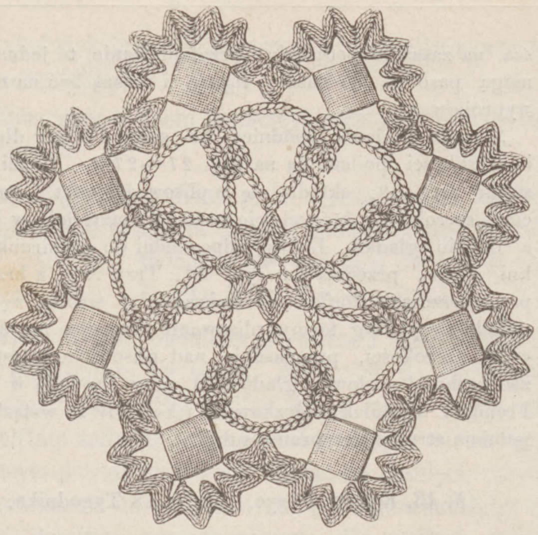
na pokrycie poduszeczki do szpilek, albo do przyozdobienia szkatułeczki, teki na chustki do nosa lub t. p. w połączeniu zaś z kwadratami z płótna, materyi, lub batystu, stanowić będzie piękną kapę albo przykrycie na stolik.

Środki deseniu zapełnione są zwykłym ściegiem, cerowanym nićmi cienkiemi, a kontury i żyłki najpierw się wywodzą, a następnie obrabiają ściegiem sznureczkowym, bawełną grubą kordonkową.

N. 6—11. Dwa kołnierzyki z mankietami.

Obadwa garnitury ozdobione są szlaczkami złożonemi z wązkich pasków płótna lub batystu, łączonych kratką krzyżowaną; garnirunek taki bardzo ładnie wygląda i jest praktyczny do prania.

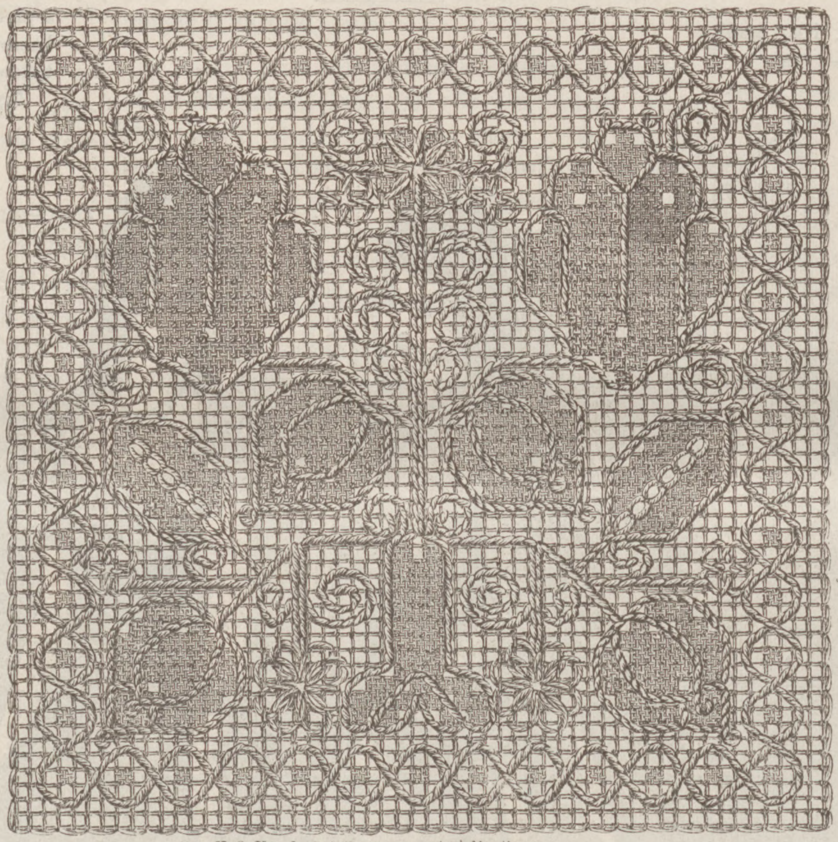
Ryc. 6—8 przedstawia kołnierzyk z cienkiego płótna przykrojony podwójnie, podług formy do ryc. 23 w Nr 10 Tygodnika mód; rogi nie powinny być załamane tylko trochę wygięte. Garnirunek odrobiony podług próbki rycina 8, składa się z pięciu pasków batystowych 1 cent. szerokich składanych podwójnie w sposób wskazany na ryc. 27 w Nr 10, a łączonych kratką krzyżowaną, robioną nićmi szpulkowemi Nr 80. Garnirunek ten z tyłu kołnierzyka przedzielany jest kawałkami plisowania batystowego, jak to widzimy na ryc. 6. Koronkę naszywa się raz na pasku i na plisowaniu, a drugi raz do brzegu tychże. Prosty mankiet ma 11 cent. wysokości a 23—26 cent. obwodu.



N. 3. Rozeta do ryc. 25—26 w Nr 21 Tygod. Robota szydełkowa z ząbkami z plecionki i kwadratami z tasiemki.



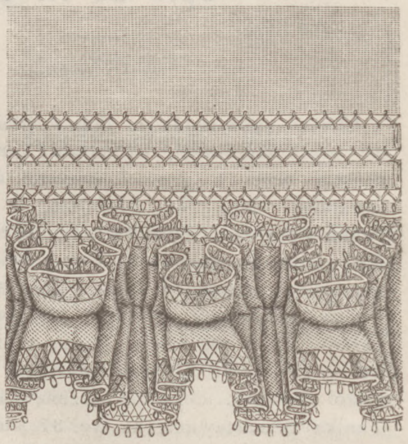
N. 4. Narożnik haftowany różno kolorowym kordonkiem.



N. 5. Kwadrat siatkowy wyszyty à l'antique.



N. 12. Haft na pantofle. Zobaczyć wykonanie na ryc. 20 w Nr 21 Tygodnika mód.

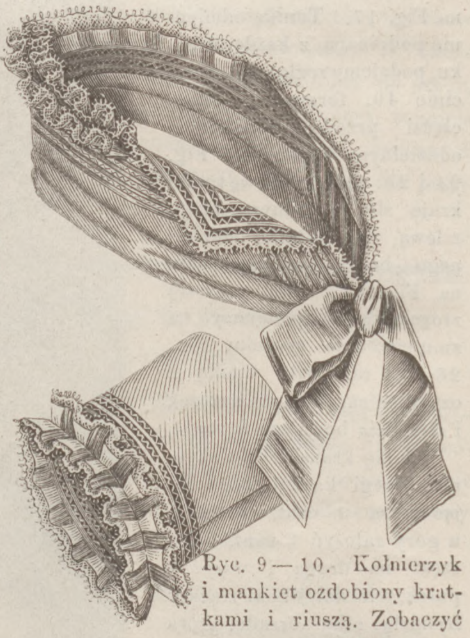


Ryc. 11. Garnirunek do kołnierzyka i mankietów, wielkość naturalna.

Na ryc. 9—11 widzimy tejże formy kołnierzyk i mankiet, z nieco odmiennym garnirunkiem. Paski batystowe $1/2$ cent. szerokie, kratką łączone, trzema rzędami oszyte są w koło kołnierzyka, a pięć razy przy wywiniętych rogach, mających 9 cent. górnejdługości. Brakujące miejsce pomiędzy rogami, zapełnia riusza, ułożona w potrójne kontrafałdy, z paska 3 cent. szerokiego, którą składa się przez środek we dwoje i przyszywa nieznacznemi ściegami do paska. Przed przyszyciem koronki brzegi riuszy podwinięte są jak do marszczenia. Mankiet zdobi 5—6 pasków garnirunku i riusza środkiem przeszyta.

N. 12 i N. 20 w N. 21 Tygodnika mód, deseń na pantofle.

Deseń ten przeznaczony na pantofelki



Ryc. 9—10. Kołnierzyk i mankiet ozdobiony kratkami i riuszą. Zobaczyć ryc. 11.

dla panny młodej, składa się z gałązek i kwiatów mirtowych, oraz z pączków i listków różanych. Na małą nóżkę wzór ten łatwo może być zmniejszony, przez odrzucenie bocznych gałązek. Model odrobiony był na atłasie błękitnym, filozelą do cieniu, w kolorach odpowiednich naturalnym kwiatom i liściom. Sposób roboty wskazany jest na ryc. 20, w Nr 21 Tygodnika.

N. 13. Siatka gipiurowa do oszycia parasolika. Zobaczyć ryc. 9 w Nr 21 Tygodnika.

N. 14—15. Dwa staniki kirasowe. Krój jak do ryc. 39 w Nr 19 Tygodnika mód.

N. 14. Stanik kirasowy z gładką plisą.

Do czarnej jedwabnej spódnicy, stanik i tunika odrobione są z wełnianego, ciemno popielatego adamaszkowego materyału. Plisa przy staniku i mankietach jest gładka popielata, a rękawy, stojący kołnierzyk i podwójna wypustka przy plisach są z czarnej materyi. Węzeł i końce przy zapięciu kołnierza są z czarnej wstążki.

N. 15. Stanik kirasowy z haftowanemi plisami.



N. 14. Stanik kirasowy z gładką plisą. Plecy na ryc. 15. Krój jak do ryc. 39 w Nr 19 Tygodnika.

Stanik i tunika z gładkiego bronzowego, wełnianego materjału, przybrane są prostą *haftowaną plisą*, z materyi ciemniejszego koloru. Spódnica oszyta dwoma drobno plisowanemi falbankami i plisą, oraz rękawy, stojący kołnierzyk i kokardy, są z materyi ciemno brązowej.

N. 16. Vêtement z boku zapinane, z chusteczkowem ubraniem na staniku. Krój jak do ryc. 1 i 14 w Nr 18 Tygodnika mód.

Vêtement formą princesse z wełnianej popielatej tkaniny, w pasy adamaszkowe, z jednego boku zapinane jest na ramieniu i wzdłuż podpachą, z drugiego zeszyte i ubrane guziczkami. Do bocznych sfałdowanych szwów z tyłu spódnicy, przymocowane są proste, 20 cent. długie a 100 cent. szerokie szarfy, w środku lekko przewiązane, podtrzymujące sute podpięcie vêtement.

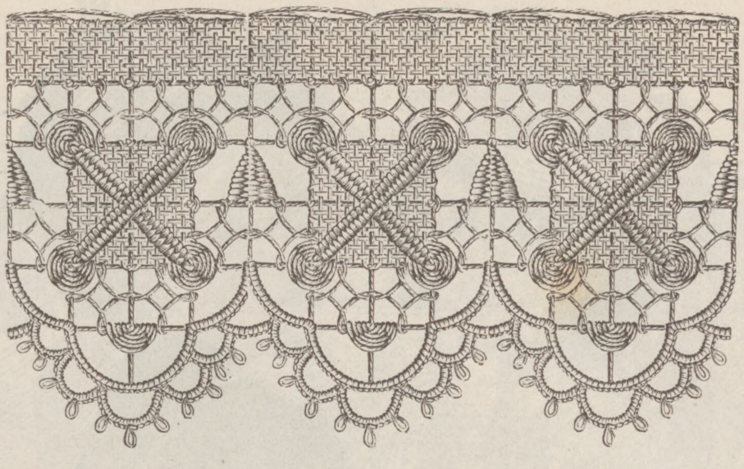
Spódnica, rękawy, chusteczkowe ubranie stanika, szarfy i kokardy, są z materyi jedwabnej ciemniejszego koloru. Ubranie stanika układa się z dwóch skośnych *22 cent. szerokich kawałków materyi*, sztywnym muślinem podłożonych, z tyłu w róg chusteczkowy zeszytych, a z przodu w stanie do 6 cent. sfałdowanych i kokardą spiętych. Końce z przodu do środka w ząb podcięte, podszyte są materyą.

N. 17—18. Teczka do robót. Wyszycie długim ściegiem na kanwie Jawa. Próbka wyszycia ryc. 17 w Nr 21 Tygodnika.

Ryc. 17 i 18 przedstawiają zamkniętą i rozłożoną teczkę na robótki, na którą potrzeba dwóch kawałków kanwy, jeden 42, drugi 24 cent. długich, a 14 cent. szerokich. Dłuższy wierzchni kawałek założony w jednym końcu na kieszonkę 10 cent. głęboką, 2 cent. na spodni kawałek zachodzącą; obadwa są z ponsowej kanwy, wyszyte kordonkiem niebieskim, podług próbki ryc. 17 w Nr 21 Tygodnika. Inny na ryc. 17 w bieżącym numerze podany deseń, łatwo można podług tejże ryciny odrobić. Kolory kanwy i kordonku można dowolnie zmienić, np. wyszycie ponsowe, niebieskie i czarne, dobrze będzie odbijać od tła *écru* albo piaskowego. Brzegi kanwy, w odstępie 2 nitek od desenia, są gęsto odzierzgane, a następnie oba kawałki zeszyte ze sobą; do wewnętrznej części przymocowany jest pasek 4 cent. szeroki, kilka razy w odstępach przestębnowany i tym sposobem podzielony na przegródki, służące do wkładania różnych nici. Brzegi kieszonki ozdobione są kokardami ze wstążki, którą także przyszywa się do zwierzchniego brzegu, do wiązania teczki.



N. 19. Ubranie ranne formą Princesse, z odznaczonym kaftanikiem. Krój jak do ryc. 23—24 w Nr 9 Tygodnika.



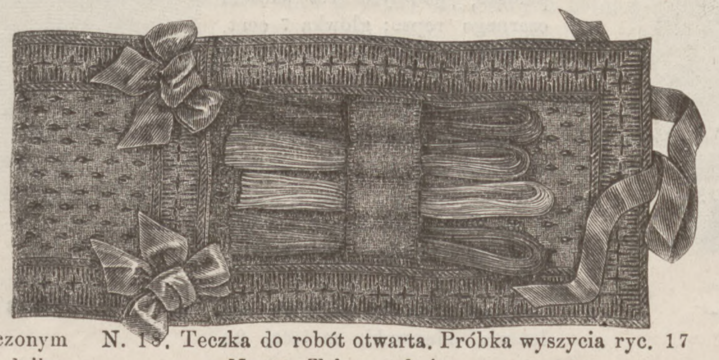
N. 13. Siatka gipiurowa do oszycia parasolki podanej w Nr 21 na ryc. 9. Tło crême, wyszycie i dzierganie rubinowego koloru.



N. 16. Vêtement z boku zapinane z chusteczkowem ubraniem na staniku. Krój jak do ryc. 1—14 w Nr 18 Tygodnika.



N. 17. Teczka do robót. Wyszycie długim ściegiem na kanwie Jawa. Teka otwarta na ryc. 18.



N. 18. Teczka do robót otwarta. Próbka wyszycia ryc. 17 w Nr 21. Teka zamknięta na ryc. 17.



N. 15. Stanik kirasowy z haftowaną plisą. Przód na ryc. 14.

N. 19. Ubranie ranne formą Princesse, z odznaczonym kaftanikiem. Krój jak do ryc. 23—24 w Nr 9 Tygodnika mód.

Model sukni odrobiony był z płótna koloru écru, fason ten jednak nadaje się do wszelkich lekkich wełnianych tkanin.

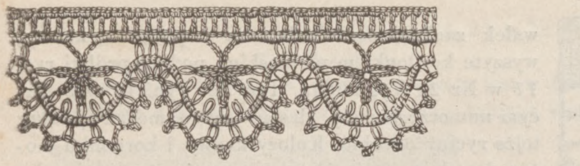
Wąziutkie, dziergane białe szlaczki, zdobią plisy 4 i 2 $^1/_2$ cent. szerokie, oraz zakończają plisowania. Dolną część spódnicy stanowi plisowanie 45—50 cent. szerokie, dwa razy przestębnowane, u dołu obrębem 5 cent. szerokim zakończone i szlaczkiem oszyte; sześć cent. szerokie plisowanie, odznaczające kaftaniczek, zakończone jest w górze wąziutkim nagłówkiem lub pliską. Przy kieszonkach zaś i przy rękawach, plisowanie ma 5 centymetrów.

N. 20. Suknia z muślinu albo linon. Opis przy ryc. 36 w Nr 21 Tygodnika.

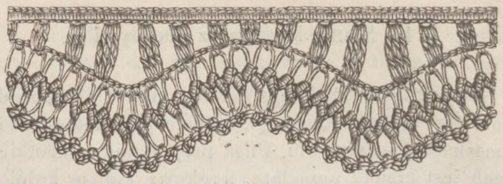
N. 21. Koroneczka z *Mignardise* i roboty szydełkowej.



N. 20. Suknia z muślinu albo linon. Opis przy ryc. 36 w Nr 21 Tygodnika.



N. 21. Koroneczka z mignardisse i roboty szydełkowej.



N. 22. Koroneczka z torsadki robionej na widełkach i roboty szydełkowej.

N. 22. Koroneczka z torsadki robionej na widełkach i roboty szydełkowej.

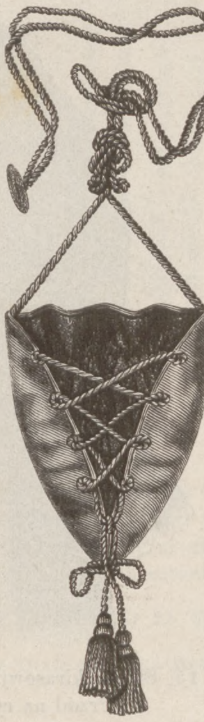
W środku torsadka przerabiana jest 3-ma ścisłemi oczami szydełkiem; od dołu odrobiona pikotami szydełkowemi, z 3 o. pow., złączonych i przedzielanych 1 o. ścisłem. Dla uformowania płaskich zębów, w zagłębieniu tychże, łączy się dwa razy po 2 pentelki 1 oczkiem ścisłem; następnie w 10 pentelck zęba, daje się po 1 o. ści. Od góry zęby z torsadki obrobione są o. ścisłemi i powietrznemi, których podział wyraźnie widać na ryc. 22, na koniec brzeg górny zapełniają pół, raz, dwa i trzy razy nawijane słupki, po trzy razy nawijane słupki, po trzy razem zrabiane i 2-ma lub 3-ma o. przedzielane, obrobione rzędem o. ścisłych.



N. 23. Kapelusz dla małej dziewczynki.



N. 24. Kapelusz dla małego chłopca.



N. 25. Kieszonka do paska przybrana sznurem i kwastami.

N. 23. Kapelusz dla małej dziewczynki.

Biały słomkowy kapelusz przystrojony jest wieńcem różowych stokrotek, a na główce 4 cent. wysokiej, upięte są kokardy z wstążki białej repsowej, 6 cent. szerokiej. Od spodu rondko podgarnirowane jest koronką i riuszą ze wstążki $2\,^1/_2$ cent. szerokiej.



N. 27. Ubranie dla małej dziewczynki. Krój odpowiedni ryc. 33 w Nr 10 Tygodnika.

N. 28. Bluza i majtki dla chłopczyka. Przód na ryc. 22 w Nr 21 Tygodnika. Krój jak do ryc. 1 w Nr 19 Tygodnika.



N. 29. Szkocka słomkowa czapeczka dla chłopczyka.



N. 30. Stanik pod szyję z baskiną i fałdowanem przepasaniem z przodu. Krój jak do ryc. 39 w Nr 19 Tygodnika mód. Plecy na ryc. 31.

N. 24. Kapelusz dla małego chłopczyka.

W górę podwinięte, 5 cent. szerokie rondko słomkowego kapelusza, podszyte jest skosem czarnego repsu; główka 7 cent. wysoka, gładko opasana czarną 4 cent. szeroką ze spuszczonemi końcami, przepięta klamrą, z pod której na tył spływa długie czarne pióro.

N. 25. Kieszonka do paska, przybrana sznurem i kwastami.

Część tylną i zwierzchnie wyłożenia kieszonki, mającej 21 cent. długości, a 16 górnej szerokości, kraje się oddzielnie ze sztywnego muślinu, następnie zwierzchnie części pokrywa się na dwie strony materyą, a z brzegu daje się wypustkę, część zaś tylną od spodu pokrywa się materją, od środka aksamitem, a w górze przemarszcza cokolwiek na falbankę. Poczem części oddzielne zeszywa się ze sobą i zdobi grubym jedwabnym sznurem, w sposób na ryc. 25 wskazany, naszytym.



N. 26. Kieszonka do paska przystrojona sutą kokardą.

N. 26. Kieszonka do paska, przystrojona sutą kokardą.

Kieszonka aksamitna z podszewką atlasową, składa się z dwóch równych części, u dołu spiczasto zkrojonych, mających 18 cent. wysokości, 13 górnej, a 16 dolnej szerokości. Na $1\,^1/_2$ cent. od góry, wszywa się tasiemkę elastyczną, która przymarszcza kieszonkę do $8\,^1/_2$ cent. Sutą kokardę układa się ze wstążki czarnej repsowej, $4\,^1/_2$ cent. szerokiej; łańcuszek i strzała ze srebra oksydowanego.

N. 27. Ubranie dla małej dziewczynki. Krój odpowiedni przy ryc. 33 w Nr 10 Tygodnika mód.

Kirasowy stanik zapina się z przodu, a z tyłu ozdobiony jest sznurem naśladującym sznurowanie. Obciśnięta tunika ma z przodu 36, z tyłu 52 cent. długości, skróconej fałdami do 38 cent. i podpiętej szarfą; dolna szerokość wynosi 100 cent.

(d. c. n.)



N. 31. Stanik pod szyję z baskiną i fałdowanem przepasaniem z przodu. Przód na ryc. 30.